

**CINDY GERARD**

**Ślub z Jamesem Deanem**

*(The bride wore blue)*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niebo było błękitne jak kocyk niemowlęcia, wiał lekki wietrzyk. Był to idealny dzień na latanie, choć jeśli chodzi o J. D. Hazzarda, do tego celu idealny był właściwie każdy dzień.

– Prawda, Hershey? – zwrócił się o potwierdzenie do swego czteroletniego, czekoladowego labradora, który uwielbiał latanie, pizzę i gonitwę za wiewiórkami, w tej właśnie kolejności.

Hershey, ze śmiesznie zwisającym z pyska językiem, spojrzał posłusznie na swego pana i z powrotem wysunął nos przez okienko.

– Prawda – uznał J. D., mając na uwadze własne odczucia.

Szybko jednak stracił entuzjazm, przypomniawszy sobie cel tego konkretnego lotu.

Zacisnął mocno usta. Z tej akurat roboty, do której zgłosił siebie i swą zasłużoną, czteromiejscową cessenę, chętnie by zrezygnował. Szukanie kłusowników nie było tym, co lubił najbardziej.

Wypatrywanie pożarów, patrołowanie Iron Rangę czy udział w akcjach ratunkowych, proszę bardzo. Ale polowanie na kłusowników to inna sprawa. A ten konkretny gang był najgorszy. Jego członkowie byli chytry, przebiegli i zupełnie bez skrupułów. J. D. chętnie by ich powiesił, zanim dla zysku zabiją kolejnego czarnego niedźwiedzia.

– Ale najpierw musisz ich znaleźć – powiedział sam do siebie ponuro. Nagle usłyszał jakiś dziwny szum w silniku i zrozumiał, że nie będzie to jeszcze tego dnia.

Zmarszczywszy brwi, uznał, że pora zakończyć lot, a po wylądowaniu koniecznie sprawdzić wahacz. Spojrzawszy w dół, rozpoznał znajomą zatoczkę i postanowił jeszcze ją okrążyć.

– Przez wzgląd na stare, dobre czasy – stwierdził i na jego twarzy pojawił się tęskny uśmiech. Wspomnienie pewnego lata poprawiło mu humor.

Już dawno nie zaglądał na ten koniec Legend Lakę. W dzieciństwie często błagał ojca o kluczyki do łodzi, żeby móc popłynąć wzdłuż północnego wybrzeża i odwiedzić Zatokę Błękitnych Czapli.

Czy to możliwe, że było to przed piętnastu laty? Diana Ross i Lionel Ritchie z utworem „Endless Love” królowali wtedy na listach przebojów, a J. D. był beznadziejnie zakochany – w najdłuższych nogach i najpiękniejszych brązowych oczach znanych Bogu, człowiekowi czy wyobraźni.

– Nie miałeś u niej najmniejszych szans – rzekł sam do siebie, przypominając sobie Maggie Adams, zachwycającą szesnastolatkę, która w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Wtedy. Nic dziwnego, był tak pewny siebie i napalony.

– Boże, ależ z ciebie był idiota – ocenił sam siebie z niesmakiem.

Kolejny trzask w silniku przywrócił go do rzeczywistości. Pora wracać do bazy. Jeszcze jedno nostalgiczne spojrzenie na zatoczkę i...

– A to co? – mruknął, kiedy w dole, na pomoście, zauważył leżącą postać.

Ostro zawrócił, zmuszając słabnący silnik do wysiłku, opadł niżej i potwierdził to, co mu

się wcześniej wydawało.

To była kobieta. I to, o ile dobrze widział, bardzo piękna.

Leżała na pomoście i opalała się. Jednocześnie neonowo-niebieski kostium opinał ją jak druga skóra. A jej nogi... Cholera. Czy ktoś widział kiedyś takie nogi? Nawet z tej wysokości wydawały się nie mieć końca. Ostatni raz, kiedy widział takie nogi...

Ta myśl aż go poraziła. Ostatni raz, kiedy widział takie nogi, należały one do Maggie Adams.

– To niemożliwe, Hazzard – tłumaczył samemu sobie, choć podniecenie przyprawiło go o oszalałe bicie serca. – Przecież z ciebie żaden szczęściarz. To nie może być ona. Zapomniałeś, ile lat minęło?

Wbrew rozsądkowi ogarnęła go jednak nadzieja. Niezatarty, idealny obraz Maggie jak żywy stanął mu przed oczami.

W każdym razie idealną i doskonałą wydawała mu się, kiedy był pewnym siebie siedemnastolatkiem i przeżywał istną burzę hormonalną, ilekroć znajdował się obok niej i podziwiał gęste kasztanowe włosy, brązowe oczy i długie, niesamowite nogi.

O Boże, te nogi. Choć minęło już tyle czasu, wciąż o nich śnił i marzył. Ostatni raz widział je przed piętnastu laty, dokładnie na tym samym pomoście. Dziś libido przekonało jego mózg, że znów je widzi.

Obrzucił wzrokiem zatokę, sprawdził siłę i kierunek wiatru i postanowił lądować. Nie mógł odlecieć, nie przekonawszy się, czy oczy go nie omyliły.

– Trzymaj się, Hershey – rzekł, zaskoczony podnieceniem, które go ogarnęło. Jak na mężczyznę tak doświadczonego w stosunkach z kobietami, było to co najmniej dziwne. – Złożymy tej damie – kimkolwiek ona jest – wizytę.

Daleki, natrętny, podobny do brzęczenia komara dźwięk zakłócił ciszę, którą jeszcze przed chwilą tak się cieszyła. Na próżno próbowała go zignorować.

To samolot, stwierdziła z niechęcią. Choć jezioro leżało z dala od jakichkolwiek szlaków lotniczych, na niebie często pojawiały się prywatne czy wynajęte hydroplany. Żaden jednak nie pojawił się jeszcze tak blisko.

Westchnęła z irytacją i niechętnie otworzyła oczy.

Oślepiło ją słońce, więc po omacku zaczęła szukać przeciwsłonecznych okularów na wyblakłych deskach pomostu. Znalazła je, nie podnosząc się, włożyła na nos i spojrzała w niebo.

Bez trudu wypatrzyła samolot. Mały, jednosilnikowy hydroplan. Że był blisko, to za mało powiedziane. Był bardzo blisko, bardzo nisko i, co stwierdziła ku swemu przerażeniu, słysząc krztuszający się silnik, miał coraz większe kłopoty.

– Wielki Boże – szepnęła, gwałtownie siadając. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Silnik nie przestawał się krztusić.

Samolot był już bardzo nisko.

Za szybko, za szybko, myślała z przerażeniem, patrząc, jak białe skrzydła i srebrny kadłub spadają z nieba, przechylając się pod bardzo niebezpiecznym kątem.

– Usiądź – szepnęła błagalnie do pilota, zrywając się na równe nogi. Mrużąc oczy w

odbijającym się od wody słońcu, wstrzymała oddech. Bała się patrzeć. Bała się też nie patrzeć.

Serce podeszło jej do gardła, kiedy samolot podskoczył, potem jeszcze raz, i w końcu jak wielki, biały ptak osiadł na roziskrzonej, spokojnej powierzchni zatoki.

Odetchnęła z ulgą i z podziwem pokiwała głową. Dużo czasu w swym życiu spędziła w samolotach pasażerskich, ale oprócz zapinania pasów bezpieczeństwa i modlitwy o szczęśliwy start i lądowanie, nie miała zielonego pojęcia o lataniu. Wystarczyło jej to jednak, by wiedzieć, że pilot tego samolociku dokonał cudu.

Kiedy samolot wpłynął głębiej w zatokę i nie tylko rozpoznała numery na jego ogonie, ale i zauważyła, że jedynie sznur i metalizowana taśma trzymają wszystkie jego części w kupie, miejsce podziwu zajął gniew.

Idiota. Nikt, kto miał kiedykolwiek do czynienia z wodą, nie odważyłby się latać na takim zabytku. Gołym okiem było widać, że ten hydroplan czasy świetności ma już dawno za sobą.

Tylko mieszkańiec tych okolic mógł się na coś takiego zdobyć. Znała ich dobrze i uważała za zupełnie odmienną rasę ludzką.

Choć trzymała się od nich z daleka i miała ograniczone kontakty z silnym, awanturczym ludem tych okolic, podczas swego już dwumiesięcznego pobytu w tym miejscu przekonała się, że nie ma łodzi, którą by nie popłynęli, góry, na którą by się nie wspięli, czy niebezpieczeństwa, któremu nie stawiliby czoła.

Polubiła tych ludzi. Żałowała tylko, że nie rozumie ich całkowitej pogardy dla bezpieczeństwa.

A czemuż to ten samolot zmierza wprost do mego pomostu? pomyślała gniewnie. W zatoczce jest sześć innych domków. Wszystkie bliżej niż jej. W kilku byli ludzie. Niektóre miały telefon, którego ona celowo nie posiadała. Przyjechała tu przecież, by oderwać się od wszystkiego.

– Także od idiotów w samolotach – mruknęła, coraz bardziej zła.

Dlaczego ten człowiek podpływa do mojego pomostu?

To pytanie powracało jak natrętna mucha. Tak się przejęła zagrożeniem, w jakim znalazł się pilot, że o swoim własnym bezpieczeństwie zupełnie zapomniała. Pozwoliła się zaskoczyć.

Próbowała się uspokoić i trzeźwo ocenić sytuację. Rolfe'owi na pewno nie wpadłoby do głowy, by jej tu szukać. Nie wie o istnieniu tego domku. Nikt o nim nie wie i nie orientuje się, że ona tu jest. Zatarła za sobą wszelkie ślady. Gdy ktoś ją znajdzie, to tylko wtedy, kiedy ona uzna, że już pora – a to jest bardzo mało prawdopodobne. Być może nawet nigdy nie nastąpi.

Obserwowała podpływający bliżej samolocik. Przekonywała samą siebie, że to pewnie jakiś tubylec, który wybrał się na przejażdżkę i wpadł w kłopoty. Uświadomiła sobie, że wobec tego jej reakcja była przesadna. Ma do czynienia z tutejszym prostakiem, jak oni wszyscy chętnie igrającym ze śmiercią, bo wyraźnie brak mu szarych komórek. Złożyła ręce na brzuchu i czekała, aż unoszący się na fali samolocik podpłynie do pomostu.

Kiedy lewa płoza samolotu głośno uderzyła w pomost i silnik zamilkł, postanowiła, że wprawdzie powie pilotowi, co o nim myśli, a potem każe mu iść do diabła. Była już do tego

gotowa, kiedy nagle otworzyły się drzwi kabiny i ujrzała siedzącego w niej mężczyznę.

Co do tego, że pochodzi z tych stron, nie było najmniejszych wątpliwości. To bez wątpienia potomek owych krzepkich Finów i Szwedów, którzy prawie przed stu laty osiedlili się w tej pięknej i dzikiej okolicy. Jego skandynawskie pochodzenie było tak wyraźne, że zanim zdjął lotnicze okulary i spojrzał na nią, wiedziała, że jego oczy są niebieskie.

Niebieskie to za mało powiedziane, musiała przyznać, kiedy instynktownie spojrzała w nie głęboko. Niebieskie to niedomówienie. Kiepskie określenie dla takiego niesamowitego odcienia. W jego oczach połyskiwało niebo. Niebo, woda i inne barwy najpiękniejszego letniego dnia.

Jego wzrost i postać też ją zaskoczyły. Zsunął okulary na czoło, błysnęły włosy koloru najdroższego złota, silna, opalona ręka chwyciła za drzwiczki i mężczyzna wydostał się z niewielkiej kabiny.

Staął pewnie na płozie, za nim wyskoczył ogromny brązowy pies. Zwierzę natychmiast zauważyło pomost, przeskoczyło na jego deski i, pędząc ku pobliskim drzewom, omal jej nie przewróciło.

– Hershey! – krzyknął karcąco mężczyzna. Kiedy pies nie zareagował, uśmiechnął się przepaszająco i wskazał głową w kierunku, w którym zniknęło zwierzę. – Przykro mi – rzekł. – Zazwyczaj lepiej się zachowuje. Zdaje się, że nie mógł się już doczekać przerwy na drzewko.

Przybrała pozycję obronną, nie chciała, by wygląpy psa czy wygląd mężczyzny wpłynęły na jej stosunek do nich.

– Jeśli wasze lądowanie przeraziło go tak bardzo jak mnie, dziwię się, że nie wyskoczył wcześniej.

– Co takiego? A, o to chodzi – powiedział, rzucając okiem na silnik samolotu. – To drobnostka.

Wtedy się do niej uśmiechnął. Otwarcie. Pięknie. I uśmiechał się dalej, kiedy tak stała, z trudem powstrzymując się, by nie odpowiedzieć na jego uśmiech.

To wszystko było bez sensu. Przeraził ją, owszem, ale jego zachowanie ani trochę się jej nie podobało. Choć był swobodny i wesoły, cały czas patrzył na nią taksującym spojrzeniem znawcy kobiet.

Przyglądając mu się ze zmarszczonymi brwiami, uznała go za pewnego siebie zarozumialca. Obserwowała, jak szuka czegoś pod siedzeniem, i starała się uporządkować swe myśli.

Jego całkowita otwartość i bezpośredniość wykluczała fakt, że przysłał go Rolfe. Było w nim coś szczerego. A subtelność nigdy nie była mocną stroną Rolfe'a. Gdyby dowiedział się, gdzie jest, natychmiast sam by po nią przyjechał.

Ten mężczyzna na pewno nie jest niczym sługusem. Czarny podkoszulek i obcisłe, znoszone dżinsy podkreślały tylko jego siłę. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, blond włosy i wyglądał jak jakiś nordycki bóg, pewien swej mocy i wpływu na kobiety.

Jego szczęki były mocne, kwadratowe, usta pełne i szerokie. Kiedy zeskoczył na pomost, trzymając w ręku wielką rolkę srebrzystej taśmy, na jego twarzy nadal malował się ten sam

irytujący, wyczekujący uśmiech.

Zadrżała, czując równocześnie ciepło i zimno, kiedy spojrzał jej w twarz, a potem zsunął wzrok od głowy aż po bosa stopy. Kiedy po chwili znowu popatrzył jej w oczy, uśmiechał się leniwie. Powinno ją to ostrzec, ciekawość jednak zwyciężyła.

Zsunęła okulary, by lepiej ocenić sytuację. Choć wydawało się to niemożliwe, widząc to, mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Balansując na jednej nodze, skrzyżował ręce na piersi i westchnął z zadowoleniem.

– O kurczę – rzekł głosem słodkim jak miód i ciepłym jak popołudniowe słońce. – To rzeczywiście ty. A niech mnie diabli – mruknął, jakby nie wierzył we własne szczęście. – Jak się masz, Długa? Dawno się nie widzieliśmy.

Długa?

Przechyliła głowę i pogrążyła się we wspomnieniach.

Owszem, przyzwyczała się do tego, że ludzie ją rozpoznają. Tylko jedna osoba na świecie nazywała ją kiedyś Długą, ale wtedy nie uważała tego kogoś za osobę. Stojący przed nią mężczyzna, uśmiechający się tak, jakby wygrał los na loterii, przypominał tamtego chudego jak ołówek chłopaka tylko wzrostem i kolorem oczu. I wielkością stóp. Długie, mocne, bosa i opalone tkwiły w butach równie znoszonych jak jego dzinsy. Sądząc po wyglądzie, trzymały się tylko dzięki modlitwie i kilku centymetrom tej samej srebrzystej taśmy, która sklejała jego samolot.

To niemożliwe, pomyślała, jeszcze raz uważnie mu się przyglądając. Przed piętnastu laty uważała go za podgatunek człowieka, totalnego kretyna i zarozumiałego idiotę. Łaził za nią, błagał o spotkanie, aż miała ochotę udusić go i wrzucić do wody.

Zmrużyła oczy i szukała w nim czegoś znajomego. Szalejący smarkacz, który łaził za nią krok w krok jak pies, był chudy jak szczapa, miał niewyparzoną gębę i udawał chojraka.

Przypominał jej wtedy ogromną błękitną czapkę, od której wzięła nazwę zatoka, przezwała więc go Błękitkiem, by zrewanżować się za przydomek, który on jej nadał, czyniąc aluzję do jej długich nóg.

– Błękitek? – spytała z niedowierzaniem, ale i jakąś dziwną nadzieją, patrząc na jego uśmiechniętą twarz. – J. D. Hazzard? To naprawdę ty?

Jej pełna zdziwienia reakcja wyraźnie go rozbawiła.

– A jest taki drugi na świecie?

– Mój Boże. – Tym razem nie mogła się nie uśmiechnąć. Kręcąc głową, wyciągnęła do niego rękę. – Po tylu latach. Aż nie mogę uwierzyć.

Jego uśmiech był jeszcze szerszy. I, o dziwo, jeszcze piękniejszy.

– Piętnaście lat – mruknął. – Wcale się nie zmieniłaś, Długa – dodał, kiwając głową z aprobatą. Obrzucił ją jeszcze raz tym swoim niesamowitym, taksującym spojrzeniem i ujął jej dłoń. – Nic a nic.

Maggie była przyzwyczajona do oceniających spojrzeń. Do bezlitosnego oka kamery. Traktowała to wszystko z dystansem. Taka była cena sukcesu. Jednak bezczelny wzrok J. D. dziwnie ją deprimował. W skąpych kostiumie kąpielowym czuła się prawie jak naga. By dodać sobie odwagi, wyrwała mu rękę i nasunęła z powrotem okulary.

– Ale ty tak – wydusiła z trudem, walcząc z falą gorąca, która oblała ją, kiedy poczuła jego dotyk.

Splotła ręce na piersi, jakby dla obrony. Jego pewne siebie, penetrujące spojrzenie nie opuszczało jej ani na chwilę.

– Choć nie całkiem. – Wskazała głową w kierunku samolotu, z ulgą choć na moment odwracając od niego wzrok.

Zawsze twierdził, że kiedyś będzie latał. Co prawda, mówił wtedy bardzo wiele różnych rzeczy – na przykład, że złamie w końcu jej opór i weźmie ją na tylne siedzenie samochodu swego ojca.

– Wygląda na to, że nadal igrasz z losem.

J. D. też spojrzał na cessenę. Z dumy aż się rozpromienił.

– Piękna, prawda?

– Piękna? – Maggie nie mogła powstrzymać ironicznego parsknięcia. – Zawsze byłeś niepoprawnym optymistą. Chyba zauważyłeś, że nawet najpaskudniejsze dzieci dla swoich rodziców są piękne. Miłość jest ślepa. Chętnie cię poinformuję, że ten twój samolot to ruina.

Było to stwierdzenie oczywistego faktu. Farba nie wystarczy, by doprowadzić go do jako takiego stanu. A jeśli chodzi o silnik, to oliwiarka i śrubokręt też na niewiele się przydadzą.

Jej opinia wyraźnie zabolala J. D.

– Chyba nie mówisz poważnie? Czy nie widzisz, jaki skarb kryje się pod tą powłoką? – Z uwielbieniem spojrzał na swą cessenę. – To naprawdę coś wspaniałego.

– I niebezpiecznego. Za chwilę powiesz mi, że lata doskonale.

– Niech cię nie zwiodą te trzaski silnika. Po prostu jest dziś nie w humorze. – Błękitne oczy leniwie omiotły jej nogi. Tak jak ty, mówiło jego spojrzenie. – Trzeba mu poświęcić trochę uwagi.

Tym samym dał do zrozumienia, że i z humorami Maggie da sobie radę, poświęcając jej trochę szczególnej uwagi.

– Naprawdę – dodał z przekonaniem, widząc jej sceptyczną minę. – Jest w dużo lepszym stanie, niż wygląda. Ty zaś... – przerwał. – Ty zaś wyglądasz tak, że lepiej nie można.

Ty też wyglądasz oszałamiająco, przyznała niechętnie, wciąż porównując wspomnienia z tym, co teraz miała przed oczami. Kto by pomyślał, że z tej kombinacji kolan, łokci i jabłka Adama, jaką był J. D. Hazzard, wyrośnie facet o urodzie modela.

Z uśmiechem czy bez, nawet z tą bezczelnością, był niesamowicie przystojny. Jego opalenizna była bez wątpienia naturalna i stanowiła miłą odmianę po sztucznej barwie uzyskiwanej w solarium, do której Maggie była tak przyzwyczajona. Stanowiła także jeszcze jeden dowód jego umiłowania do zajęć na świeżym powietrzu. Długość utrefionych przez wiatr i wodę włosów, nie do przyjęcia w miejskich salach konferencyjnych, świadczyła o chyba nieświadomej obojętności wobec własnego wyglądu.

W świecie – w każdym razie w tym świecie, w którym obracała się Maggie – byłby wyjątkiem. Kimś naturalnym i prawdziwym, a nie facetem z fotografii na błyszczącym papierze wyprodukowanym i udoskonalonym przez mistrzów kamery, których tak dobrze znała. A ponieważ był tak bardzo prawdziwy, nie sposób było nie zauważyć, jak bardzo jest

wysoki, silny i męski.

W Nowym Jorku byliby nim zachwyceni. Zjedliby go żywcem. A w każdym razie by próbowali. Tak jak starali się to zrobić z nią, pomyślała z goryczą. Czasami nawet zastanawiała się, czy się to im nie udało.

– Co się stało? – spytał nagle J. D. , zaskoczony jej nagłym zamyśleniem.

Zła, że przyłapał ją, jak się w niego wpatruje, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Właściwie nic. Chyba po prostu się zamyśliłam. Ciągle nie mogę uwierzyć, że to ty. Dawniej byłeś takim...

– Kretynem – odpowiedział jej uprzejmie i parsknął śmiechem. Był to dźwięk tak samo porażający, jak jego uśmiech. – Niektórzy twierdzą, że nadal jestem.

– A mają rację?

Sama nie wiedziała, czemu daje się wciągnąć w tę słowną grę. Było to zupełnie nie na miejscu i w dodatku nie w porę. Nie miała ochoty na odnawianie starych znajomości. Nie chciała otwierać drzwi i zapraszać go do choćby tak niewielkiej części swego życia. Nawet go nie lubiła. No, w każdym razie nie lubiła tego J. D. Hazzarda, którego pamiętała.

– Czy mają rację? – powtórzył pytanie i zrobił krok w jej kierunku. – Chyba będziesz musiała sama mi na to odpowiedzieć. – Ujął ją za ramiona swymi wielkimi, ciepłymi rękami i przyciągnął ku sobie. – Bo właśnie chcę to sprawdzić. Czekałem na to piętnaście lat, Długa. – Na jego twarzy malowała się zabójcza kombinacja zadumy, pragnienia i zdecydowania. – Piętnaście lat to naprawdę kupa czasu. A tyle musiałem czekać na spełnienie mej obietnicy.

Wiedząc, co się za chwilę stanie, Maggie nie była w stanie wyrwać się z jego objęć. Nawet nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego.

– Obietnicy? – szepnęła, oszołomiona żarem jego spojrzenia i delikatnością uścisku.

– Obiecałem sobie, że jeśli jeszcze kiedyś cię zobaczę, zrobię to, czego tak bardzo wtedy pragnąłem, ale brakło mi odwagi.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Nie dał jej czasu na żadną reakcję. W ogóle nie dał jej wyboru. Kiedy schylił głowę i poszukał wargami jej ust, przemknęła jej przez głowę myśl, że nie powinna na to pozwolić. Zabrzęczały dzwonki alarmowe, odezwał się instynkt obronny, ale tylko na moment. Dopóki usta J. D. Hazzarda nie dotknęły jej warg.

Było to rzeczywiście spełnienie dawnej obietnicy.

Jeśli Maggie próbowała walczyć, to tylko na niby. Jeśli wyraziła jakiś protest, był on nieprzekonujący. Pod delikatnym dotykiem warg tego mężczyzny wszelki opór wydałby się słaby i bez sensu.

J. D. Hazzard ją całował. A ona mu na to pozwalała. Pozwalała mu cieszyć się swoją uległością i sama delectowała się ciepłem jego warg, pieszczotą jego dłoni. Dłoni, które były takie ogromne i silne, a jednak zadziwiająco delikatne, kiedy sunęły po jej plecach.

Woda cicho pluskała o pomost, a on całował ją w pełnym słońcu, pośrodku tej dzikiej krainy, do której uciekła od stresu, konieczności podejmowania decyzji i pewnego związku, który już od dawna ją tłamsił.

Tutaj, w ramionach tego mężczyzny, czuła się wolna, pogrążona we wspomnieniach łatwiejszych, prostszych czasów. Zachwycona nadzieją, że z nim może być inaczej. Odkryła także podniecenie w jego najdoskonalszej formie. Słodkie, wszechogarniające i bezpieczne, a jednak niesamowicie zmysłowe i szokująco erotyczne.

I nagle to coś tak pięknego się skończyło.

Lekko oszolomiona, otworzyła oczy.

J. D. przez chwilę po prostu patrzył na nią z zachwytem. Później uniósł rękę i zsunął jej na czoło przeciwsłoneczne okulary.

– Och, Maggie – szepnął, delikatnie muskając kciukiem jej zarumieniony policzek. – Byłem idiotą, że czekałem tak długo.

Potem znowu dotknął wargami jej ust. Z pragnieniem świadczącym o pożądaniu. Z mocą, która zdradzała jego siłę.

Nagle ogarnęła ją panika. Serce zaczęło walić jak oszalałe, kiedy przypomniała sobie ból i moc dotyku innego mężczyzny.

Ręce, które jeszcze przed chwilą pieściły ramiona J. D. , zacisnęły się w zbiegłe pięści. Przyjemność, którą czuła przed momentem, zamieniła się w pragnienie ucieczki. Ciężko dysząc, odpychała go gwałtownie.

– Hej... hej... spokojnie.

Wypuścił ją z objąć tak nagle, że zachwiała się i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

– Spokojnie, tak?

Jego głos, podobnie jak mina, był pełen zdziwienia, ale uspokajający. W oczach malował się niepokój. Zrobił krok do tyłu i rozłożył szeroko ręce, pokazując, że jest wolna.

Maggie oddychała ciężko i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Zacisnęła mocno powieki i szybko pokręciła głową. Próbowwała odzyskać spokój.

Kiedy już wydawało się, że wszystko jest w porządku, napotkała jego spojrzenie. Patrzył na nią badawczo, jakby czekał na wyjaśnienia.

Nie mogła się na to zdobyć. Nie teraz. Nie wobec niego. Może w ogóle wobec żadnego innego mężczyzny.

Resztką siły woli opanowała w końcu panikę. Teraz była już tylko zła.

– Oni jednak mają rację – oznajmiła zdecydowanie. J. D. pytająco uniósł brew.

– Wciąż jesteś kretyńcem, Hazzard. Dopóki nie dostaniesz w łeb, nadal nie rozumiesz, że „nie” to znaczy „nie”.

J. D. spojrzał na nią spod oka. Rozumiał, że „nie” znaczy „nie”. Ale nie taką mu dała odpowiedź, kiedy ją całował. W każdym razie nie przy pierwszym pocałunku. Cały czas powtarzała wtedy „tak” i zapraszała go, by wziął to, o czym nawet nie śmiał marzyć. Co do tego, że jej odpowiedź brzmiała „tak”, nie miał najmniejszych wątpliwości.

– Mój błąd – przyznał jednak, by ją uspokoić i by widoczne w jej oczach przerażenie zniknęło.

Bo to było przerażenie. Choć teraz może mniejsze i stłumione nieco irytacją.

J. D. zawsze był świadomy swego wzrostu i postury. Nigdy więc nie dał żadnej kobiecie powodu, by się go bała. Jakoś instynktownie wiedział, że także teraz nie to jest powodem strachu Maggie. To coś innego, coś, co nie ma z nim nic wspólnego.

– Przy tobie zawsze popełniam błędy.

Zmusił się do uśmiechu, choć przede wszystkim marzył o tym, by wyjawiała mu powód swego przerażenia.

Nie zdążył jej o to zapytać, bo z lasu wyłonił się Hershey i wskoczył na pomost. Maggie chętnie skorzystała z pretekstu, by uniknąć ewentualnej gry w dwadzieścia pytań. Przykleknęła i obdarzyła labradora uwagą, o którą błagał, machając ogonem.

Trąc w zamyśleniu podbródek, J. D. po prostu przyglądał się, jak Maggie pieści i czule przemawia do psa. Z pozoru wyglądała na zupełnie opanowaną. Tylko ręce się jej trzęsły. J. D. postanowił się wycofać. W każdym razie pozornie. Maggie wyraźnie potrzebowała czasu, by dojść do siebie.

Nie miał pojęcia, co wywołało to przerażenie w jej oczach, był jednak stuprocentowo pewien, że to nie był on. W chwili gdy zetknęły się ich usta i ciała, strach był ostatnią rzeczą, o której mogłaby pomyśleć. Zareagowała na jego bliskość. Tak pewnie i otwarcie, że ku własnemu zdziwieniu poczuł chęć, by ją chronić.

Chronić, posiąść. Opiekować się.

Ej, spokojnie, Hazzard. Hormony, wspomnienia i dawne młodzieńcze pożądanie to za mało, by pragnąć czegoś takiego. Szczególnie po piętnastu latach. A wtedy byli przecież dziećmi.

Spojrzał na jej rozświetlone słońcem włosy i opaloną skórę. Wziął głęboki, uspokajający oddech. Tak, teraz na pewno nie są już dziećmi. Choć zmiany w jej wyglądzie były niewielkie, J. D. wyczuwał, że psychicznie jest to zupełnie inna osoba. Patrząc, jak wtula twarz w jedwabiste futro psa, poczuł nagle żal, że nie było go przy niej, kiedy wydarzenia

tworzyły z niej tę kobietę, którą jest dzisiaj. Maggie, jaką znał przed piętnastoma laty, była harda i opryskliwa. Miała usta stworzone do całowania i celnych ripost i była bardzo niezależna.

Nigdy by nie przypuszczał, że mogła się zmienić w kobietę, którą wyprowadzi z równowagi niewinny flirt. Ona pewnie by temu zaprzeczyła, ale J. D. wiedział swoje. Maggie naprawdę była zdenerwowana.

No, dobrze. Może posunął się nieco za daleko. Może nie był to tylko niewinny flirt. Ale ona z kolei była więcej niż zdenerwowana. Raczej śmiertelnie przerażona. A przecież to tylko był zwykły pocałunek.

Mylisz się, Hazzard, skarcił się w myślach. Gdyby to był tylko zwykły pocałunek, twoje serce nie traciłoby rytmu tak jak silnik twej cessay. Nie miękłoby, jak teraz, kiedy na nią patrzysz.

O, Długa. Co ci się, do cholery, przydarzyło?

I co się przydarzyło jemu, że tak bardzo chce to wiedzieć?

To z powodu tych niezwykłych nóg, Hazzard, tłumaczył sobie w duchu.

Zawsze miał fioła na punkcie jej nóg. I jej uśmiechu. A także temperamentu, który kazał mu się za nią uganiać, dysząc ciężko jak dobiegający do mety maratończyk.

Tyle że w tamtych czasach nigdy z nią tej mety nie przekroczył. Nawet się do niej nie zbliżył.

Nagle podjął szaleńczą decyzję. Teraz, kiedy już wróciła, nieważne z jakiego powodu, postanowił przekroczyć z nią wiele barier. Począwszy od wyjaśnień, jak i dlaczego przyjechała po piętnastu latach nad to jezioro... a kończąc na zrozumieniu, co nadało jej oczom ten pełen łęku wyraz.

Nie zdążył zadać pierwszego pytania, kiedy Maggie podniosła głowę. Ominęła go wzrokiem i spojrzała na zatokę.

– Dobrze by było go przywiązać do pomostu – zauważyła tak niewinnie, że J. D. od razu się zaniepokoił.

Odwrócił się za siebie i zaklął siarczyście.

Kiedy znów na nią spojrzał, na jej twarzy malował się pełen zadowolenia uśmiech.

Podczas gdy jak zakochany żółtodziób rozmyślał nad losem Maggie Adams, jego cessa spokojnie odpłynęła dobrych parędziesiąt metrów w głąb zatoki.

Nie odrywając od niej wzroku, ściągnął przez głowę podkoszulek i wraz z okularami oraz rolką taśmy rzucił na deski.

– Patrzyłaś, jak odpływa, prawda? •

Maggie obojętnie wzruszyła ramionami. Wyraźnie czerpała z tego jakąś perwersyjną przyjemność.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? – mruknął, zdejmując buty.

– Przecież właśnie powiedziałam.

Bawiła się, co prawda, jego kosztem, ale J. D. zauważył, że strach w jej oczach ustąpił miejsca rozbawieniu. To była ta Maggie z dawnych lat.

– Zapłacisz mi za to, Długa – obiecał, zdejmując dzinsy i stając przed nią tylko w

czarnych, jedwabnych bokserkach.

Jej twarz okryła się rumieńcem.

– Drogo mi zapłacisz – zapewnił ją z groźnym uśmiechem.

Nakazał Hersheyowi zostać na miejscu i wskoczył do wody.

Maggie stała i przeklinała samą siebie za to, co robi. A jednak nie była w stanie odwrócić wzroku. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach przyglądała się, jak J. D. płynie w kierunku samolotu.

– Jakoś dawał sobie radę przez te piętnaście lat, kiedy cię tu nie było – mruknęła pod nosem. – Teraz też nie potrzebuje niańki.

Z tą myślą zmusiła się, by nie patrzeć dłużej na niego i jezioro. Nic ją nie obchodzi, czy utonie. I tak, latając dalej tym samolotem, wkrótce źle skończy.

– Samolot – mruknęła. – Raczej latająca dziurawa łódka. Jeden wart drugiego.

Stojący na straży na końcu pomostu Hershey zawarczał i Maggie natychmiast znów spojrzała na jezioro. Przez moment widziała tylko gładką powierzchnię wody i gdzieś w oddali kilka znaczących banieczek. Wkrótce jednak, dzięki Bogu, zobaczyła też J. D., który dopłynął właśnie do samolotu. Wspiął się na jedną z płóz, usiadł i potrząsnął głową.

Maggie poczuła ulgę. Zbyt szybką i zbyt dużą. I odrobinę podniecenia. J. D. był naprawdę pięknym mężczyzną. Szerokie ramiona, symetrycznie wysklepiona klatka piersiowa, wąskie biodra i długie, muskularne nogi były wręcz idealne. Podniecało ją samo patrzenie na niego.

Zaskoczyła ją ta dziwna reakcja. Po Rolfie miała zamiar nie dopuścić, by jakikolwiek mężczyzna tak na nią działał. Po Rolfie wydawało się jej to w ogóle niemożliwe. J. D. Hazzard właśnie udowodnił jej, że była w błędzie. Nie tylko zareagowała na niego fizycznym podnieceniem, ale i zaczęła się o niego martwić.

Na jej nieszczęście spojrzał na nią akurat w momencie, kiedy rozluźniła się i odetchnęła z wyraźną ulgą. Obdarzył ją dumnym spojrzeniem, uniósł gestem zwycięstwa palce do góry i stanął, mokry i prawie nagi, na płozie.

– Kretyn – mruknęła Maggie, wściekła na siebie nie tylko za to, że tak na niego zareagowała, ale i pozwoliła mu to zobaczyć.

Pozostawało jeszcze pytanie: dlaczego. Dlaczego tak na niego zareagowała fizycznie i dlaczego niepokoiła się o jego los? O fizycznym aspekcie sprawy wolą nie myśleć. Nad niepokojem o jego bezpieczeństwo można się było zastanowić. Maggie przyglądała się, jak odpływa jego samolot. Powinna coś powiedzieć. Z jakiejś niewytłumaczalnej przekory zapragnęła wstrząsnąć nieco jego uporządkowanym światem – tak jak on wstrząsnął jej – i dlatego milczała. W rezultacie, gdyby coś mu się przydarzyło, byłaby to jej wina. Przecież często słyszy się choćby o skurczach, z powodu których giną najlepsi nawet pływacy.

– Nie – stwierdziła ostro, odwróciła się znowu tyłem do jeziora i J. D., a potem kamienistą ścieżką ruszyła ku swemu domkowi. – Nie daj się znowu wciągnąć w tę pułapkę. To przecież od takich racjonalnych wyjaśnień uciekłaś aż tutaj. To by nie była twoja wina. To przecież on nie przywiązał samolotu do pomostu.

Maggie weszła do domku i poszła prosto do sypialni. Zdjęła kostium kąpielowy, włożyła majtki i stanik oraz szorty w kolorze khaki i czerwoną bluzkę.

Potem starała się zignorować fakt, że na pomoście jest jakiś pies, w zatoce samolot i prawie nagi mężczyzna, który nim przyleciał.

Nie, nie miała złudzeń, że udało jej się go pozbyć. Jeszcze nie. Tyle tylko, że kiedy znowu stanie z nim twarzą w twarz, będzie miała nad nim przewagę. To ona jest ubrana.

– Zarozumiały kretyn – wygłosiła kolejny epitet pod jego adresem i podeszła wolno do okna, by udawać, że nie interesuje jej, co robi J. D.

Podpłynięcie do samolotu było dla niego kaszką z mleczkiem. J. D. utrzymywał się w dobrej kondycji. Nakłonienie upartego silnika do pracy to już inna historia.

J. D. błagał i przekonywał. Modlił się i obiecywał. Nawet przez moment kłął jak szewc, aż w końcu silnik poddał się i ustąpił. Żeby się nie rozmyślił, J. D. przez całą drogę szeptał mu czule słówka i prawił komplementy. By go nie forsować, wolniutko płynęli ku zaniepokojonemu Hersheyowi i... nieobecnej Maggie.

– Jak sobie chcesz, malutka – szepnęła J. D., spoglądając w stronę domku, w którym, jak się domyślał, Maggie postanowiła poczekać, aż on odleci. – Mnie się nie spieszy. Mogę czekać do końca świata.

Szczęście go nie opuszczało. Silnik równo pracował. Kiedy dopłynęli spokojnie do pomostu, J. D. od razu mocno i dokładnie przywiązał samolot.

Co uczyniwszy, rzucił ukradkiem okiem w kierunku domku, sięgnął po dzinsy i wciągnął je na siebie. Maggie była w błędzie, myśląc, że jest niewidoczna. Poprzez brzozy i sosny porastające brzeg dojrzał w oknie zarys jej sylwetki. Kryjąc się za zasłoną wyciągała szyję, by lepiej go widzieć.

Dobrze, pomyślał z zadowoleniem. A więc Maggie tylko udaje, że nie jest nim zainteresowana. Postanowił odegrać małe przedstawienie i jeszcze bardziej pobudzić jej ciekawość.

Podniósł z pomostu rolkę taśmy, którą rzucił tam tuż przez swą nie planowaną kąpielą. Oderwał kawałek i zalepił nim niewielkie pęknięcie obok nitu na brzegu skrzydła. Tym samym spełnił pierwszą z licznych obietnic, jakie na środku jeziora złożył swej cessenie.

– Widzisz? Obiecałem, że się tobą zajmę – mruknął, wygładzając nalepioną taśmę i znów spoglądając w kierunku domku.

– Podenerwujemy ją trochę, co, Hersh? – rzekł, kucając obok domagającego się pieszczot psa. – Jeszcze nie spotkałem kobiety, która umie opanować ciekawość.

Pogwizdując cicho wszedł na płożę samolotu. Balansując, wyciągnął spod siedzenia pilota torbę z narzędziami. Uśmiechnął się, czując na swych nagich plecach gorętsze od słońca spojrzenie Maggie. Oderwał kawał metalizowanej taśmy zabezpieczającej pokrywę silnika i dokonując bardzo niewielkiej naprawy odegrał prawdziwe przedstawienie.

– Zarozumiały, bufonowaty kretyn – mruknęła pod nosem Maggie, patrząc na wolno zachodzące słońce.

Odbyła już swą codzienną, dwudziestominutową gimnastykę. Wzięła prysznic.

Przygotowała dzbanek lemoniady i zrobiło jej się głupio, że sama raczy się chłodnym napojem, podczas gdy J. D. smaży się na słońcu. W końcu wypila pełną szklanę, żeby udowodnić sobie, że nic ją nie obchodzi, co się z nim dzieje.

Usiadła przy oknie z książką, ale nie zapamiętała ani słowa z tego, co przeczytała, bo przez większość czasu przyglądała się na zmianę to J. D., to Hersheyowi.

Figle labradora bardzo ją rozbawiły. Wbiegał co chwila w las, czasami pogonił za jakąś wiewiórką albo pobrodził w wodzie, płosząc dzikie kaczkę. Potem, zmęczony, polegiwał z wyciągniętym językiem na słońcu.

Zachowanie J. D. już jej tak nie bawiło. Pochłonięty naprawą swego bezcennego hydroplanu, nawet nie spojrział w stronę domku. Maggie sama nie była pewna, czy jej się to podoba, czy nie. Wiedziała tylko, że ją to niepokoi.

Pracował już od trzech godzin, grzebał w narzędziach, coś skręcał i rozkręcał, rozkładał na pomoście jakieś części. Nie zanosilo się na to, że wkrótce skończy i zniknie z jej życia. Zauważyła nawet z niechęcią, że kładzie na deskach kolejny pokryty smarem element.

Rzuciła zniecierpliwione spojrzenie na zegar. Była prawie szósta. O tej porze roku słońce znika na dobre dopiero o dziewiątej lub później, ale nie wyglądało na to, że cessa będzie gotowa przed zachodem. Co wtedy? Choć wszystkiego mogła się po J. D. spodziewać, wątpiła, czy odważy się lecieć tym samolotem po zapadnięciu zmroku.

Zacisnęła mocno usta i przygryzła policzek. Uświadomiła sobie ze złością, do czego ją doprowadził. Zamyka się w domku, by go uniknąć. Podjęła natychmiastową decyzję. Nie będzie się już dłużej chować. Nie tutaj. Nie z jego powodu. Nie w swoim własnym domu.

W domu. Nie po raz pierwszy, odkąd tu przyjechała, nazwała tę małą chatkę w lesie swoim domem. Przez ostatnie czternaście lat jej domem był Nowy Jork. A jednak po dwumiesięcznym pobycie czuła się tu dużo bardziej zadomowiona niż w swym eleganckim apartamencie w Soho.

– Przynajmniej do tej pory byłam tu sama – pomyślała, spoglądając na stojącego na pomoście mężczyznę z rękami pełnymi jakichś naoliwionych części.

Napełniła lemoniadą dwie szklanki, tę drugą raczej niechętnie, i z westchnieniem ruszyła ku drzwiom.

J. D. było bardzo gorąco. I nudno. Problem z silnikiem załatwił już przed dwiema godzinami i zaczynało mu już brakować części, przy których mógłby pomajstrować, kiedy nagle usłyszał czyjeś kroki na pomoście.

– Dzięki – szepnął ku niebu i z szerokim, radosnym uśmiechem odwrócił się. Wiedział, że wygląda jak idiota. Nie mógł nic na to poradzić. I wcale się tym nie przejmował. Idąca ku niemu Maggie była taka piękna. Szeroka, złota opaska podtrzymywała jej ciemne, opadające na ramiona włosy. Mimo opalenizny policzki i nos miała lekko zaróżowione. Najwspanialsze jednak było to, że niosła dwie szklanki lodowato zimnej lemoniady. J. D. uznał to za dobry znak.

– Hej – rzekł, wycierając ręce w jakąś szmatę i biorąc podaną mu w milczeniu szklanę. – tego mi właśnie było trzeba.

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo mu było gorąco. Poczł spływające po szyi i plecach strumyki potu, kiedy odchylił głowę do tyłu i trzema haustami wypił całą lemoniadę.

Z błogim westchnieniem zlizal ostatnią kroplę z brzegu szklanki i przytulił zimne, oszronione naczynie do swej nagiej piersi, by się bardziej ochłodzić.

– Kurczę! To mi naprawdę ocaliło życie.

Maggie spojrzala najpierw na pustą szklankę, potem na niego i zmrużyła oczy. J. D. wybuchnął śmiechem.

– Duży człowiek. Duże pragnienie – wyjaśnił. – Złe zachowanie – dodał przepaszająco. – Wybacz mi. Nie powinienem się tak wygłupiać.

– To ja nie powinnam pozwolić ci siedzieć tyle czasu na słońcu bez czegoś do picia. Przepraszam.

J. D. zaskoczył jej szczery żal i przeprosiny. Nie wiedział, czemu to zawdzięczać.

– Możesz to naprawić jeszcze jedną szklanką lemoniady. Dokładnie taką samą – dodał z uśmiechem.

Maggie bez słowa wzięła od niego zatłuszczone naczynie i ruszyła stromą ścieżką do domku.

Zanim wróciła, J. D. zdążył zmyć z rąk najgorszy brud, włożyć podkoszulek i ustawić w cieniu na trawie dwa leżaki.

Maggie nie chciała się z nim zaprzyjaźnić. To było jasne. J. D. jednak uznał, że łączące ich wspomnienia i ten gorący pocałunek są dobrą prognozą na przyszłość. Był zdecydowany to wykorzystać.

Stał obok leżaków i czekał, żeby Maggie usiadła. Wahala się przez chwilę, obrzuciła go ostrożnym spojrzeniem i w końcu przysiadła na starym, metalowym krzeselku. Nawet na niego nie patrzyła.

– Już dawno nie siedziałem pod tym drzewem – zauważył melancholijnie. – To była miła niespodzianka, że cię tu dzisiaj znalazłem. Bardzo miła – dodał z delikatnym, lekkim uśmiechem. – No więc co cię tu sprowadza, Długa? – spytał w końcu, kiedy przedłużające się milczenie uświadomiło mu, że Maggie nie ma najmniejszej ochoty włączać się do rozmowy.

Maggie omiotła leniwym spojrzeniem spokojne wody zatoki, kamienisty brzeg porośnięty lasami i niewielką plażę przylegającą do pomostu.

– Raczej trzeba by zapytać, dlaczego tak długo mnie tu nie było.

On też na moment zachwycił się tym pięknym, spokojnym, rajskim krajobrazem i wtedy zrozumiał jej słowa.

– Tęskniłaś za tym miejscem, prawda?

– Tak – przyznała. Przymknęła oczy i pozwoliła lekkiej bryzie bawić się swymi włosami. – Bardzo.

Siedzieli w milczeniu i wsłuchiwali się w ciszę, przerywaną pluskiem wody o brzeg, dalekim krzykiem mew i trajkotaniem dzikich kaczek łowiących ryby i wygrzewających się na kamieniach.

J. D. rozparł się wygodnie na leżaku, cieszył własnym szczęściem i zastanawiał, jak

delikatnie zachęcić Maggie do poważniejszej rozmowy.

– A wiesz co? – zaczął ostrożnie. – Wydawało mi się, że Karaiby albo francuska Riwierą są bardziej w twoim stylu.

Nareszcie. Teraz wszystko było już jasne. Przyznał, że śledził jej karierę lub przynajmniej o niej słyszał. Zresztą, cóż w tym dziwnego? Każdy, kto nie żył na pustyni, słyszał o Maggie. O tym, że Maggie jest supergwiazdą i najbardziej poszukiwaną top modelką, dowiedział się przez przypadek przed siedmioma laty. Siedział w poczekalni u dentysty i z nudów przeglądał jakieś kobiece pismo. Nagle wpadła mu w oko reklama bielizny. Wpadła w oko to za mało powiedziane. Uderzyła go raczej. Modelka była rzeczywiście niesamowita.

Rozłożył przed sobą pismo i gapił się na zdjęcie kobiety.

Zapomniał zupełnie o czekającym go leczeniu kanałowym i próbował ożywić pewne dawne wspomnienie.

Siedział już na fotelu, pod wpływem środków znieczulających, kiedy wszystko mu się przypomniało.

Maggie, której zdjęcie przed chwilą oglądał w piśmie, nie była jakimś niedoścignionym ideałem, o którym marzą małe dziewczynki i nastolatki. To była jego Maggie. Jego Maggie Adams, która wciąż jednym spojrzeniem swych brązowych oczu rozgrzewała jego krew. To jego Maggie, ubrana tylko w białą, jedwabną koszulkę i koronkowe pończochy.

Spojrzał teraz na nią, na jej arystokratyczne, a jednak zmysłowe rysy, oszałamiające nawet bez makijażu, na ciemne oczy, robiące wrażenie nawet bez pomocy cieni do powiek oraz tuszu, i uznał, że nadal jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

– Dużo przez te lata przeszłaś, prawda, Długa?

Maggie nie odpowiedziała. J. D. zastanawiał się, dlaczego. Od chwili kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w tamtej reklamie, widywał jej zdjęcia właściwie wszędzie. Na okładkach pism, planszach ulicznych, w telewizji, w rubrykach o bogatych i sławnych oraz sprawozdaniach z promocji nowych perfum, sygnowanych jej imieniem.

A teraz siedziała naprzeciwko i milczała. Pograżona w myślach, którymi nie chciała się z nim podzielić.

– Jak tam samolot? – spytała w końcu, nie patrząc mu w oczy. – Uda ci się go naprawić?

Żeby odlecieć stąd i zostawić mnie w spokoju, brzmiało nie wypowiedziane zakończenie tego pytania, na które jednak dobrze wychowana Maggie nie potrafiła się zdobyć.

A więc nie chce się z nim zaprzyjaźnić. Nie chce, by znowu byli przyjaciółmi.

Większość mężczyzn zrozumiałaby tę aluzję i zostawiła ją w spokoju. J. D. jednak był inny. A i Maggie Adams nie była zwykłą kobietą. Była dziewczyną z jego młodzieńczych marzeń. Uosobieniem kobiety idealnej. I choć uświadomił sobie to zaledwie przed paroma godzinami, przez całe te piętnaście lat wszystkie napotkane przez ten czas kobiety z nią właśnie porównywał.

Czy ma teraz odlecieć i zostawić ją w spokoju? Mowy nie ma! Ale skoro to takie dla niej ważne, posłucha jej i uda, że się stara. Prawdę mówiąc, ani myślał dokądkolwiek się wybierać. Jeszcze nie teraz. I nieprędko. Poczekaj, aż Maggie w końcu się przed nim otworzy.

Czy będzie się jej to podobało, czy nie, będzie czekał.



## ROZDZIAŁ TRZECI

– Chyba już doszedłem, w czym problem – rzekł z przekonaniem J. D., grzebiąc znów w gmatwaniu kabli i przewodów. Miał nadzieję, że stanowi ona dla Maggie prawdziwą tajemnicę. Gdyby choć trochę znała się na silnikach, jego chytry plan spaliłby na panewce.

Choć wciąż milczała, nie odmówiła mu pomocy. Kiedy zasugerował, że przydałaby mu się dodatkowa para rąk, by przytrzymać klucz, podczas gdy on dokręci kilka śrub i naoliwi kilka trybów, westchnęła znacząco, ale poszła za nim do samolotu.

Był to tani chwyt, ale J. D. wcale się tego nie wstydził. W rezultacie bowiem znalazł się tak blisko jej słodko pachnących włosów i rozgrzanego letnim słońcem ciała. A w dodatku ze smugą smaru na nosie wyglądała tak uroczo.

Nawet udało mu się wywołać pełen zniecierpliwienia grymas na jej twarzy, kiedy kazał jej nacisnąć mocniej „coś tam”, żeby inne „coś tam” zaskoczyło na miejsce i żeby kolejne „coś tam” działało, jak należy.

– To terminy fachowe – wyjaśnił protekcyjnym, pełnym wyższości tonem, czym w końcu zasłużył sobie nawet na jej uśmiech.

Warto było czekać. Była w nim słodycz, ale i pewna dziecięca wrażliwość, do której na pewno by się nie przyznała. Jednak jej źródło nadal pozostawało dla J. D. tajemnicą i powodem nieustannego niepokoju.

– Dobra – rzekł z udawaną nadzieją, zaciskając śrubę, która sam przed chwilą poluzował.  
– Zobaczymy, czy nam się udało.

Wytarł ręce i zdecydowanym ruchem zatrzasnął klapę silnika.

– Dasz mi buzi na szczęście? – zaproponował z pełnym nadziei uśmiechem. Oderwał kawałek taśmy i nalepił na miejscu dawno urwanego zatrzasku.

Maggie wzniosła oczy do góry, a J. D. oczywiście wybuchnął śmiechem. Wtedy ona spoważniała, co on z kolei zinterpretował jako obawę przed jego rychłym i nieuniknionym odjazdem. Wciąż roześmiany, wsunął się do kabiny.

– No, malutka – mruknął, odgrywając znowu przedstawienie. – Nie zawieźdź tatusia. Bardzo na ciebie liczę.

Po serii kaszlnięć, parsknięć i trzasków silnik w końcu ożył i zaskoczył.

J. D. rzucił w kierunku Maggie zwycięskie spojrzenie i ustawił silnik na wolne obroty. O Jezu, ależ ona jest słodka! Widział wyraźnie, że stara się wyglądać na zadowoloną, choć on był pewien, że jest rozczarowana. Oznaczało to wobec tego, że nie chce, by odjeżdżał. I że to całe przedstawienie nie poszło na marne.

Wciąż uśmiechnięty, wysiadł z kabiny.

– Udało nam się, Długa – oznajmił, przekrzykując szum silnika i nagle odskoczył, przepuszczając Hersheya, który jednym susem wskoczył na swoje stałe miejsce w kabinie.

J. D. i Maggie wymienili rozbawione spojrzenia. Rozśmieszyło ich zachowanie psa.

– Pewnie nie przyjęłabyś funkcji mego pomocnika, co? – spytał z nadzieją.

– Chyba zostawię to tobie.

– Co? – Nachylił się ku niej, choć oczywiście słyszał każde słowo. – Nic nie słyszę. To przez ten hałas! – krzyknął, wskazując kciukiem samolot i przysuwając ucho tuż do jej ust.

– Powiedziałaś, że chyba zostawię to tobie! – zawołała.

– O, Maggie. – Objął ją za ramiona i obdarzył pełnym uczucia spojrzeniem. – Ja też cie nie chcę zostawiać!

Maggie gwałtownie pokręciła głową.

– Nie. Wcale nie to mówiłam!

– Byłoby ci przykro, gdybym umarł? Maggie wzniosła oczy do nieba.

– Daruj sobie.

– Pocałuj? Jezu, Długa, myślałem, że już nigdy mnie o to nie poprosisz.

Ledwo otworzyła usta, żeby znów go poprawić, kiedy zamknął je pocałunkiem.

J. D. wziął ją w ramiona i napawał się słodyczą warg i miękkością jej ciała.

Ona też przywarła do niego całą sobą. Oboje czuli się jak w niebie. I zakończenie tego było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie J. D. musiał w życiu zrobić.

Odsunął się od niej wolniutko. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Ogarnęły go zupełnie nowe, nieznane uczucia. Ona też to czuła. Widział to w jej oczach. Słyszał w każdym jej oddechu. I kiedy tak stali obok siebie w wolno zapadającym zmierzchu, dostrzegł w jej spojrzeniu coś jeszcze: żal, że wkrótce się rozstaną.

Przypomniało mu to scenę z jakiegoś starego filmu wojennego. Nawet nie pamiętał jego tytułu. Było to dramatyczne rozstanie dzielnego pilota RAF-u i jego gorzko płaczącej kochanki, bohaterki francuskiego ruchu oporu. Pilota wzywały obowiązki, ona milcząco błagała, by jej nie zostawiał.

– Muszę jechać, Maggie – szepnął, poruszony tym porównaniem. W jego głosie była jednak i nadzieja. Nadzieja, że Maggie poprosi go, by z nią został.

Nic z tego! Maggie złożyła ręce na piersiach gestem, który nauczył się już rozpoznawać jako próbę stworzenia między nimi dystansu i akt samoobrony.

Westchnął ciężko, kiedy skinęła głową, oddalając się od niego jeszcze bardziej. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru zmieniać swych planów.

Kiedy, odgrywając wcześniej swoje przedstawienie, rozłączał przewód paliwowy – licząc, że Maggie tego albo nie zauważy, albo nie zorientuje się, w czym rzecz – stwierdził, że paliwa w silniku wystarczy zaledwie na kilka minut lotu.

Choć był wciąż oszołomiony pocałunkiem i wolniej reagujący, kiedy silnik zamilkł, w porę przypomniał sobie, by udać zaskoczonego. Może nawet trochę rozczarowanego.

Prawdę mówiąc, czuł się winny. No, może tylko trochę. Łagodziła to nieco myśl o nagrodzie, jaką być może przyniesie mu to drobne oszustwo.

Ta chwila wahania kosztowała go jednak utratę punktów. Dostrzegł w oczach Maggie błysk podejrzliwości. Odwrócił się szybko w stronę samolotu, zmusił do wydania obowiązkowego, pełnego niezadowolenia jęku i zniechęcony opuścił ręce.

– Cholera – mruknął, z nadzieją że zabrzmiało to przekonująco.

– Cholera – odpowiedziała jak echo Maggie zupełnie obojętnym, beznamiętnym tonem i spiorunowała go wzrokiem.

Najwyraźniej wyczuła podstęp. I wiedziała, kto jest jego autorem.

Spojrzała lodowatym wzrokiem na samolot.

– Jakiś problem? – spytała sucho.

– Chyba tak – odparł w zamyśleniu. – Spróbuję go uruchomić.

Ale oczywiście, kiedy usiadł w fotelu pilota i bardzo zawzięcie pogrzebał we wszystkich właściwych miejscach, silnik ani drgnął.

Nieco nazbyt przygnębiony wyraz jego twarzy wydał się Maggie mocno podejrzany.

A niech go cholera! Niech szlag trafi tego człowieka z jego zuchowatym uśmiechem i niesamowitymi, oszalamiającymi pocałunkami. I ten jego głupi, nic niewart samolot!

– I co teraz?

Maggie nawet nie próbowała ukryć oburzenia.

– No, cóż – zaczął, spoglądając na mroczniejące niebo. – Jest prawie pewne, że nie uruchomię go przez nocą. A nawet, jeśli mi się to uda, choć nie przeszkadza mi latanie w ciemnościach, nie dam rady wylądować nocą bez świateł na ziemi czy wodzie. I w dodatku bardzo mi sienie podoba ta zbliżająca się burza.

Dopiero w tej chwili Maggie zauważyła, że niebo pociemniało nie tylko z powodu zapadającego zmroku. Ogromna czarna chmura zwiastowała potężną ulewę i wicherę.

– A gdzie jest twoja baza? – spytała z pełnym rezygnacji westchnieniem.

– W Crane Cove.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie Maggie zrobiła przeprowadziwszy się do tego domu, było zapoznanie się z położeniem jeziora. Crane Cove dzieliła od jej domku prawie godzina lotu. Łądem jednak byłaby to czterogodzinna podróż. A ona nie miała najmniejszej ochoty na spędzenie tak długiego czasu w swoim dziupie z tym mężczyzną, choćby nie wiem jak był uroczy. Mógłby przekonać ją, by zmieniła postanowienie i opowiedziała mu o sobie.

– Czy możesz wezwać kogoś przez radio, żeby cię zabrał? – spytała, szukając jakiegoś wyjścia.

– Przez radio?

– Nie mów mi, że nie masz przy sobie radia?

– Tak, mam radio. Pewnie, że mam. Tylko...

– Nie – przerwała mu z gniewem. – Sama zgadnę. Nie działa.

Znowu ten nieznośny, irytujący uśmiech.

– Brawo, Długa! Celny strzał! Wygląda na to, że Hershey i ja spędzimy tu noc.

Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem. A on odważył się roześmiać.

– Odwiozę was – oznajmiła z pełną determinacją pozbycia się go jak najszybciej.

– O, nie, nie ma mowy! Nie mogę sprawiać ci takiego kłopotu. Poza tym po drodze jest pięciokilometrowy odcinek zupełnie zrujnowanej szosy. Tylko czołg mógłby tamtędy przejechać. Szczególnie w deszczu – dodał, znacząco spoglądając w niebo.

Maggie z rezygnacją westchnęła.

– Hej – zaczął ją pocieszać J. D. – To nie problem. Jesteśmy w północnej Minnesocie. Masz przed sobą rasowego tubylca. Jestem zawsze przygotowany do rozbicia obozowiska. W cессnie mam namiot. Rozbijemy go z Hersheyem w twoim ogrodzie. Będziemy spać pod

chmurami, grzać się przy ognisku i dla rozrywki wyc do księżyca. Nie martw się. Będzie wspaniale. Zapomnisz, że tu jesteśmy.

Miałaby zapomnieć, że on tu jest? Równie dobrze można by jej kazać zapomnieć o jego pocałunku. Coś się wtedy z nią stało. Coś potężnego i przerażającego i zupełnie poza jej kontrolą.

Czuła wcześniej żal, że J. D. wkrótce ją opuści. I choć wydawało się to takie niemożliwe, nie chciała, żeby odchodził. Kiedy jego usta spoczęły na jej wargach, powiedziała mu to, choć nie słowami, lecz ciałem.

Przywarła do niego całą sobą, wtopiła się w niego, a on posłuchał jej nie wypowiedzianej prośby.

Maggie z trudem przełknęła ślinę. Zapomnieć, że on tu jest? Nigdy w życiu! Co nie oznacza jednak, że on musi o tym wiedzieć.

– Dobra – powiedziała szorstko. – Rozbijcie namiot na trawniku.

Co powiedziawszy, chwiejnym krokiem weszła do domku. Pragnęła, by uwierzył, że jest w stanie zapomnieć o jego obecności.

– Wiesz co, Hersh – mruknął J. D., moszcząc się wygodnie w śpiworze. – Wygląda na to, że nasza gospodyni zrozumiała mnie dosłownie. Chyba rzeczywiście o nas zapomniała.

Może nie powinien z takim entuzjazmem zapewniać jej, że pod gołym niebem będzie mu znakomicie. Nie zdawał sobie sprawy, iż był taki przekonujący.

– Przeliczyłem się, stary. Miałem nadzieję, że zaprosi nas do środka.

Spojrzał ze smutkiem w stronę tonącego w ciemnościach domku. Maggie zniknęła w nim przed ponad trzema godzinami i od tamtej pory jej nie widział.

J. D. spodziewał się, że co najmniej zaproponuje mu nocleg na swej kanapie. Co tam, zgodziłby się nawet spać na podłodze. Wszystko byłoby miększe niż ta skała, na której rozbił swój namiot.

Nacisnął guzik oświetlający tarczę zegarka. Do północy pozostało jeszcze tylko pół godziny. Do rana dużo, dużo więcej. Wcześniej rozpalili niewielkie ognisko i spożyli kolację złożoną z kielbasy, sera i krakersów, które zawsze woził w samolocie w małej, turystycznej lodówce. Hershey zadowolili się suchym pokarmem i kilkoma krakersami. Po krótkiej zabawie w chowanego z kolejną wiewiórką ułożył się obok swego pana.

– Nasza gospodyni będzie twardszym orzechem do zgryzienia, niż myślałem – zauważył na głos J. D. Przewrócił się na plecy i obejrzał toczące się po niebie czarne chmury. Miał nadzieję, że w razie deszczu serce Maggie jednak zmięknie.

Nie był pewien, czy taśma, którą zakleił dziury w swym starym namiocie, wytrzyma. Nie lubił moknąć. Nie lubił też nocować w namiocie, do czego jednak nigdy by się nie przyznał. W każdym razie nie swoim przyjaciółom. Wyśmialiby go, szczególnie gdyby wspomniał, że najbardziej brak mu kuchenki mikrofalowej i odtwarzacza płyt kompaktowych.

Kochał tę krainę, szczególnie wówczas, kiedy powietrze było pachnące i świeże, a słońce mocno grzało. W nocy, nawet latem, nad jeziorem jest zimno i czasami niebezpiecznie. Wraz z zapadnięciem ciemności wyruszają na łów dzikie, czarne niedźwiedzie i polujące na nie hordy kłusowników.

Nazajutrz będzie znów o nich myślał. Teraz najważniejsze, by było mu ciepło. I sucho. Kiedy słońce zniknęło za horyzontem, ciepłą bryzę zastąpił lodowaty, północny wiatr. Księżyc i komary były teraz jego jedynymi towarzyszami.

– Bez komarów mógłbym się obyć, ale przydałoby się trochę więcej światła księżyc – mruknął J. D., kiedy ciemna chmura prawie całkowicie zakryła srebrną tarczę. – Na miękkie łóżko też bym się nie pogniewał – dodał.

W tej samej chwili poczuł pierwszą kroplę deszczu. Wdarła się do środka przez powiewające na coraz większym wietrze skrzydła wejścia do namiotu.

J. D. wystawił głowę na zewnątrz.

– Kurczę, Hersh! – krzyknął. – Huragan!

Hershey, zawsze taki lojalny, też wyrzwał z namiotu, potem spojrzał przepaszająco na swego pana i pędem rzucił się w stronę domku. Po chwili już skomlał i drapał w drzwi.

J. D. zastanawiał się, czy nie pójść w jego ślady, kiedy nagle usłyszał trzask ocierającego się o drewno metalu.

Spojrzał natychmiast w stronę przystani. Wzmagający się wiatr przyniósł coraz wyższe fale. Gładka i spokojna za dnia powierzchnia jeziora w mgnieniu oka przeistoczyła się w szalejącą, bulgoczącą czarną kipieli. A przywiązana do pomostu cessa walila w niego z całej siły.

J. D. nie zastanawiał się ani chwili. Musiał coś zrobić, bo za moment jego ukochany samolocik stanie się kupą złomu i potłuczonego szkła.

Błyskawicznie włożył buty i zbiegł na pomost. Za chwilę klęczał już na deskach i ciągnął za mocujące samolot nylonowe liny, próbując rozwiązać supły.

Zanim poradził sobie z pierwszym, był już przemoczony do suchej nitki. Lodowaty wiatr i deszcz smagały jego twarz tysiącem kłujących igiełek. Ignorując ból i zimno, wgramolił się na płożę. Sztywnymi z zimna palcami rozwiązał kolejną linę.

Wiedział już, co musi zrobić. Z rozłączonymi przewodami paliwowymi cessa była jak ptak z podciętymi skrzydłami. Przeklął swój „genialny” pomysł, który teraz uniemożliwił mu uruchomienie silnika i wylądowanie na plażę.

Miał tylko jedno wyjście. W świetle błyskawicy ocenił odległość od plaży na jakieś trzydzieści metrów. Gdyby udało mu się przeciągnąć cessę na ląd, przetrzymałaby tam bezpiecznie burzę.

Trzydzieści metrów. Płatanina zalewanych wodą ogromnych kamieni i skał, dzielących pomost od plaży. Równie dobrze mogłoby to być trzydzieści kilometrów.

Trzydzieści metrów czarnej, wzburzonej wody i kamieni.

Samolot znowu mocno uderzył o pomost, który aż zadrżał pod stopami J. D. Kiedy podskoczył jak korek na kolejnej fali, J. D. ujrzał ogromną dziurę w jednej z płóz. Gdy woda wedrze się do środka, samolot pójdzie na dno jak kamień.

Zapominając o niebezpieczeństwie, zrzucił buty i bluzę. Trzymając mocno linę przywiązaną do drugiej płoży, wskoczył do wody.

Maggie oszukiwała samą siebie, myśląc, że uda jej się zasnąć. Czemu akurat ta noc

miałaby być inna od pozostałych? Bezsenność była jej stałą towarzyszką od kilku lat.

Obecność J. D. Hazzarda, obojującego w jej ogrodzie, wcale nie była uspokajająca.

Nie wolno jej zaprosić go do środka. Nie może pozwolić, by zwiódł ją jego uśmiech. Musi zapomnieć o swym sercu, tak czułym dla bezpańskich psów i kotów.

A także o jego pocałunku.

Fala podniecenia przeszła całe jej ciało. Nie dość, że pozwoliła mu się pocałować, ale na dodatek odwzajemniła ten pocałunek. I zrobiła to z przyjemnością. I z przyjemnością powitała dawno zapomniane uczucie pożądania i przypomnienie, że wciąż jest ulegającą instynktom kobietą.

Związek z Rolfe'em nauczył ją panowania nad sobą. Związek z mężczyzną takim jak J. D. Hazzard mógł temu zagrozić.

Dlatego nie mogła pozwolić, by J. D. się do niej zbliżył. Dlatego nie mógł spać na jej kanapie. Znalazł się tu może i przez przypadek, ale został bez wątpienia w wyniku chytrze obmyślanego planu.

Wciągnął ją w pułapkę. To było jasne jak słońce.

Leżała w łóżku i całą siłą woli powstrzymywała się, żeby co pięć minut nie wstawać, by wyrzucić przez okno i sprawdzić, czy ognisko wciąż się pali. Powstrzymywała się, by nie obserwować z ukrycia cudownie rzeźbionego profilu J. D. rozświetlonego blaskiem ognia.

Nie chciała zastanawiać się, czy rzeczywiście J. D. jest takim człowiekiem, jakim się wydaje. Uwielbiającym życie i zabawę, nie wahającym się przed używaniem postępu, gdy chce coś zdobyć, ale w gruncie rzeczy porządnym.

Nie, nakazała samej sobie. Przestań marzyć o niemożliwym. Niech cię nie zwiedzie piękna powłoka. A przede wszystkim, na miłość boską, nie zapominaj, przed czym uciekasz.

Postanowiła nie zastanawiać się nad tym dłużej. Ułożyła się na brzuchu i wtedy o okno jej sypialni uderzyła pierwsza kropla deszczu. Wkrótce rozległo się wycie wiatru. I skomlenie pod drzwiami.

Hershey.

Czułe serce Maggie natychmiast zareagowało. Biedne zwierzątko. Hershey się boi. Maggie знаła ten strach. Strach przed samotnością. Przed głodem. Przed brakiem bezpiecznego schronienia.

Odrzuciła szybko koldrę, włożyła szlafrok i boso przeszła do salonu.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła na progu istną kupkę nieszczęścia. Z uniesioną łapą i opuszczonymi uszami przemoczony i drżący z zimna pies patrzył na nią błagalnie.

– Mógłbyś występować w cyrku – mruknęła rozbawiona Maggie, otwierając szerzej drzwi. – Ludzie płaciliby masę pieniędzy za takie przedstawienie. Hej! A ty co?

Pies pędem przemknął przez salon, wpadł do sypialni i wskoczył prosto na jej łóżko. Pomrukując z zadowoleniem, wsunął się pod przykrycie.

– Ależ ty jesteś bezczelny – skrzywiła się Maggie i próbowała ściągnąć mokre zwierzę ze swego pośłania.

Hershey warknął ostrzegawczo.

– Taki jesteś, co?

Maggie patrzyła na psa i zastanawiała się, czemu jest tylko trochę zła. Szybko to zrozumiała. Gdzie pies, tam i jego pan. Czemu więc przed jej drzwiami nie było błagającego J. D. ?

Nagła błyskawica przecięła panującą w domku i na dworze ciemność.

Stojąca tuż przy oknie Maggie ujrzała walące o brzeg fale i kłęczącą na końcu pomostu postać.

Nawet w ciemnościach i nawet z tej odległości nie mogła go nie poznać. To był J. D.

– Co on wyprawia? – zaniepokoiła się.

Mimo ciemności i ograniczającego widoczność deszczu szybko otrzymała odpowiedź. Kolejna błyskawica rozświetliła niebo akurat w chwili, gdy J. D. wskakiwał do wody.

– O Boże – szepnęła Maggie. – Czy on zwariował? Przez minutę stała jak wmurowana i wypatrywała go w szalejącej kipieli. Kiedy zauważyła wolniutkie posuwanie się samolotu w kierunku plaży, zrozumiała wszystko.

J. D. próbuje ocalić swój skarb. Ten nędzny, stary samolot. I jeszcze się utopi albo zginie od pioruna.

– Jesteś nie tylko przemądrzałym i pewnym siebie kretynem, ale i umysłowo chorym, J. D. Hazzardzie – mruknęła pod nosem. – I tym razem na pewno zginiesz.

Zastanawiała się przez kilka sekund. Potem zrzuciła szlafrok, na majtki i podkoszulek naciągnęła dres, wsunęła na nogi tenisówki. Znad łódówki zdjęła latarkę, wzięła z wieszaka kurtkę przeciwdeszczową i otworzyła drzwi.

Ostrożnie zbiegła nad jezioro, zajrzała po drodze do niewielkiego hangaru, wzięła stamtąd kawał grubej liny i ruszyła brzegiem ku plaży. Nie odrywała wzroku od wolniutko posuwającej się cessäny. Dopóki samolot przybliży się do brzegu, znaczy to, że J. D. żyje, nie utonął ani nie zabił go piorun. Co za idiota! Jeśli wyjdzie z tego cało, z chęcią go udusi.

Plażę od pomostu dzieliło jakieś trzydzieści metrów. Maggie musiała omijać skały, przedzierać się przez gęste krzaki, by w końcu zsunąć się po kamienistym zboczu w dół, na plażę.

W świetle dnia piaszczysta, złota plaża była przyjemnym miejscem, rzadkością nad tym polodowcowym jeziorem z przeważnie kamienistymi brzegami. W ciemnościach jednak okazała się śliską pułapką. Ostre kamienie i poplątane korzenie raniły stopy Maggie. Szalejący wiatr i ulewny deszcz utrudniały wędrówkę.

Bolały ją nogi, buty miała przemoczone, opadające na oczy mokre włosy zasłaniały widoczność. Odsunęła je do tyłu i podbiegła do wody. Zapaliwszy latarkę, szukała J. D.

Nie była to pierwsza burza w ciągu tych dwóch miesięcy. Czasami na niebie pojawiały się stalowoszare chmury dobrych kilka godzin przed deszczem. Potem padało przez kilka dni. Innym razem, tak jak tego dnia, burza nadchodziła bez najmniejszego ostrzeżenia. Dziki wiatr i oszalałe fale zmiatały wszystko, co znalazło się na ich drodze.

Teraz właśnie znalazł się tam J. D. Hazzard. Miotany nim jak szmacianą lalką. Jego głowa to pojawiała się wśród piany, to znikwała pod wodą.

– J. D. ! – przekrzykiwała wiatr Maggie.

Nie da rady, pomyślała, oceniając dystans, dzielący go od plaży. Nie z tym samolotem.

Znała go jednak już na tyle, by wiedzieć, że nie zrezygnuje.

Napędzana złością, ale i strachem o niego, wetknęła latarkę w piach. Przywiązała linę do najbliższego potężnego głazu. Chwyliła za jej koniec i podbiegła do brzegu. Z całej siły rzuciła linę w miejsce, gdzie ostatnio widziała J. D.

Lina poszybowała wysoko i wpadła do wody dobre dziesięć metrów od celu. Fale natychmiast popchnęły ją w stronę brzegu.

Maggie błyskawicznie podjęła kolejną decyzję. Zrozumiała, że stąd nie będzie mu mogła pomóc.

Zrzuciła kurtkę i dres. Została tylko w majtkach i podkoszulku. Drżąc z zimna owinęła sobie linę ciasno wokół ręki. Nie odrywając wzroku od dziobu cęssy weszła do lodowatej wody i ruszyła ku J. D.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

J. D. podejmował w swym życiu wiele wariackich, nierozważnych decyzji. Kąpiel w tym wzburzonym jeziorze znalazłaby się pewnie na czele ich listy. Podjąłby ją pewnie bez wahania jeszcze raz, gdyby tylko dzięki niej mógł ocalić swój samolot.

Kiedy wynurzając się na moment spośród fal, zauważył na plaży błysk światła, wiedział, że tym razem może posunąć się za daleko. Teraz już nie tylko jego własne bezpieczeństwo było zagrożone.

Maggie. O Boże! Zauważyła, co się z nim dzieje, uznała, że jest w kłopotcie, i postanowiła mu pomóc.

– Nie! – krzyknął i zaraz znowu kolejna fala wciągnęła go pod wodę.

Machając z całych sił rękami i nogami wynurzył się znowu. Wypluł wodę, nabrał powietrza i wrzasnął znowu:

– Maggie, wracaj!

Szalejący wiatr stłumił jego słowa.

– Wracaj! – powtórzył, widząc, jak Maggie potyka się i przewraca.

Stracił ją z oczu. I wtedy ogarnął go niesamowity, zapierający dech, paraliżujący strach. Nie miał pojęcia, że można tak się bać. Nie o siebie. O kogoś. O nią.

– Maggie! – krzyknął z całych sił.

Wiedział, że musi ją znaleźć. Gotów był oddać za to życie. Miał teraz do wyboru ocalić ją albo samolot. Nie wahając się ani chwili, wypuścił linę holowniczą z ręki i zanurkował.

Ogarnęła go zimna, mroczna ciemność, tak gęsta, że zaczęły go boleć płuca, tak ciężka, że omal nie pękły mu bębenki. Przesuwał dłonią po omacku, szukając jej ręki, nogi lub tych wspaniałych kasztanowych włosów. Boże, pomóż!

Kiedy już nie mógł wytrzymać dłużej, wynurzył się i zaczerpnął tchu. Wiedząc, że będzie mu to potrzebne, odetchnął jeszcze raz. Już miał zanurkować z powrotem, kiedy usłyszał jej głos.

– Hazzard!

Przedarł się ku niemu poprzez łomot fal i ryk wiatru. Był to najcudowniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszał. Dowód, że nie zabrało jej szalejące jezioro. Była niedaleko. Mrużąc oczy, zaczął płynąć w jej kierunku.

– Maggie! – wrzasnął, kiedy wśród fal zobaczył jej głowę i ramiona.

– Chwyć... chwyć linę! – zawołała, przekrzykując wiatr i walące o skały fale. – Linę! – powtórzyła. – Chwyć ją!

Dopiero wtedy zorientował się, że Maggie przyciągnęła od brzegu linę ratunkową. I że trzyma ją w jednej ręce, a w drugiej ma linę od cessay.

Z okrzykiem ulgi i radości zanurkował po nią.

– Ty cudowna, głupia kobieto! Co ty do cholery wyprawiasz? – krzyknął, kiedy był już przy niej. Wziął ją w ramiona i uniósł nad wodę.

– Ocalam twoje nędzne życie!

Plując wodą i bezskutecznie odgarniając z twarzy masę poplątanych włosów, Maggie pozwoliła odebrać sobie linę od samolotu.

– Chyba rzeczywiście! – zaśmiał się J. D. – I mój samolot też! Kiedy się stąd wydostaniemy, udowodnię ci, jak bardzo jestem wdzięczny!

Nagle czarne, groźne niebo przeszła kolejna błyskawica.

– Masz w tej chwili wyjść z tej wody, Maggie! Natychmiast!

Obrócił ją dookoła i niezbyt delikatnie pchnął w kierunku plaży.

– Wracaj na brzeg, do cholery! – krzyknął, sprawdzając, czy nadal trzyma w ręku linę ratunkową. – Ta błyskawica była tuż nad nami!

Maggie zmarszczyła brwi, ale w końcu go posłuchała. Posuwając się wolno wzdłuż liny, szła, walcząc z wiatrem i falami.

Dopiero kiedy zobaczył, że jest już bezpieczna, zajął się samolotem. Przywiązał go mocno obiema linami i w końcu też ruszył do brzegu.

Ostatnie parę metrów przebył na czworakach. Wykończony, padł twarzą na mokry, pokryty pianą piasek.

Obok niego leżała równie wykończona i mokra Maggie. Oddychała ciężko i łapczywie.

Resztką sił przetoczył się ku niej i wziął ją w ramiona, chroniąc od deszczu i smagającego wiatru.

– Nic ci nie jest? – spytał, odsuwając z jej czoła mokre kosmyki.

Pokręciła głową i mocno wtuliła się w jego ciepłe ciało.

– Boże, Maggie – szepnął, muskając ustami jej włosy. – Ależ mnie przestraszyłaś. Nie przeżyłbym, gdyby coś ci się stało.

Przytulił ją do siebie, wzruszony drzeniem ciała i odwagą tej dziewczyny.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest prawie naga. Przemoczony podkoszulek i koronkowe figi to było wszystko, co miała na sobie. Pełne piersi z twardymi jak diamenty sutkami oddzielała od niego tylko cieniutka, mokra bawełna. Znowu przemknęła mu przed oczami scena z filmu.

Kobieta i mężczyzna leżą spleceni ramionami na pustej, oświetlonej tylko księżycem plaży. Burt Lancaster i Deborah Kerr obojętni na otaczający ich świat, pogrążeni w miłości...

– J. D. ...

– Tak, Maggie – szepnął, przymykając oczy. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– J. D., jeśli nie przestaniesz mnie dotykać swoimi brudnymi łapami, to moje kolano spotka się z tą częścią twego ciała, którą najwyraźniej bardzo sobie cenisz, a którą ja chętnie załatwię raz na zawsze.

J. D. otworzył oczy. Odsunął się od niej i gwałtownie zamrugał powiekami.

– Co?

– Odwal się ode mnie, ty ogierze.

– O. – J. D. w końcu wrócił do rzeczywistości. – Tak, rzeczywiście. Czy... czy mogłabyś wstać?

Obrzuciła go pełnym wściekłości spojrzeniem.

– Owszem, gdybyś ze mnie zszedł.

– A, tak. Masz rację.

Jej spojrzenie powiedziało mu, że nie żartuje. Ponieważ miał pewne plany związane ze wspomnianą przez nią częścią swego ciała, do których realizacji i ona była mu potrzebna, uznał, że lepiej będzie, jeśli posłucha jej rady.

Zdziwiony, że ma jeszcze tyle siły, zerwał się na równe nogi. Po namyśle wyciągnął ku niej rękę.

Maggie nie tylko zignorowała ten gest, ale i spojrzała na J. D. z wyraźną niechęcią.

Wstała sama, bez słowa zebrała swoje mokre ubrania i ruszyła stromą ścieżką w kierunku domku.

Dopiero w połowie drogi odwróciła się ku niemu.

– Hershey miał dość rozumu, by schronić się u mnie przed deszczem. Możesz do niego dołączyć. To znaczy, jeśli wcześniej nie zrobisz sobie krzywdy, ciągnąc ten cholerny samolot na brzeg.

Choć słowa były ostre, jej spojrzenie dało mu nadzieję. No, dobrze, jest na niego zła, ale nie obojętna. A już zaczynał myśleć, że wszystko stracone. Zależy jej na nim, choć wcale tego nie chce.

Na pełne gniewu spojrzenie, jakim go jeszcze raz obrzuciła, też nie dał się nabrać. Katharine Hepburn też tak zawsze patrzyła na Spencera Tracy'ego, a chwilę potem padała mu w ramiona i wyznawała miłość.

– A jeszcze wczoraj wszystko było takie proste – mruknęła pod nosem Maggie, zdejmując z ognia gwizdzący czajnik i rozlewając wrzątek do dwóch kubków. – Byłam sama. Miałam spokój. O drugiej w nocy nie miałam czterdziestokilowej kuli futra w swoim łóżku i stukilowego, przemoczonego idioty pod prysznicem.

Starła się nie przejmować stojącym pod gorącym strumieniem wody J. D., który usiłował rozgrzać swe zziębnięte ciało. Zdawała sobie jednak sprawę, że on dłużej od niej przebywał w tej strasznej ulewie. Ona sama, wróciwszy do domu, trzęsła się jak galareta i tak szczykała zębami, że aż bała się, że odgryzie sobie język.

Długa, gorąca kąpiel bardzo jej pomogła. Także ogień, który rozpałała w niewielkim piecyku. Posłała krótką dziękczynną modlitwę temu komuś, kto zesłał jej przed dwoma miesiącami Abła Greene'a. W dniu, w którym tu przyjechała, zjawił się po prostu nie wiadomo skąd. Pomógł otworzyć domek, dokonał kilku drobnych napraw i od tamtej pory odwiedzał ją regularnie i uzupełniał zapas drewna.

W odróżnieniu od J. D. Hazzarda, który sprawiał jej tylko kłopoty, Abel był darem niebios. Podobnie jak J. D. był potężnym mężczyzną, a także bardzo przystojnym. Kiedy po raz pierwszy wynurzył się nagle spośród drzew, z kruczoczarnymi, opadającymi na plecy włosami i srebrnookim wilczurem u nogi, wyglądał jak jakiś dziki wojownik. Maggie omal nie uciekła.

Później jednak przywykła do jego nie zapowiedzianych wizyt. I do jego stoicyzmu.

Abel był człowiekiem tajemniczym, a Maggie nie należała do osób wścibskich. O nic się nie dopytywała, nie węszyła. Przyjęła, że pomagając jej, zaspokajają także jakieś swoje

potrzeby. Czula też, że ktoś go kiedyś bardzo zranił. Podobnie jak ją.

Nagły grzmot wyrwał ją z tych rozmyślań. Burza wydawała się przybierać na sile.

Ubrana w dres i grube skarpety, z turbanem z ręcznika na głowie, przygotowała wszystkie trzy lampki oliwne. Przerwa w dostawie prądu była nieunikniona.

Potem z kubkiem gorącego kakao położyła się pod kocem na kanapie i czekała na J. D. Jego nadejście też wydawało się nieuniknione. Nie mogła mu odmówić noclegu, choć, prawdę mówiąc, chętniej wysłałaby go przed pluton egzekucyjny.

Zjawił się w domku całe pół godziny po niej. Kiedy zastukał w końcu do drzwi, jego wargi były sine. Nawet nie musiała pytać, co robił tak długo. Wyciągał na plażę swoją cessenę. Kładł do łóżeczka ukochaną córeczkę.

Wetknęła suchy ręcznik w jego trzęsące się ręce, wepchnęła go do łazienki i zamknęła drzwi.

Teraz, zapatrzona w ogień, starała się nie myśleć o swoim gościu. Uważała przecież, że tylko idiota mógłby tak ryzykować. Marzyła, by ktoś troszczył się o nią tak bardzo jak J. D. o swój samolot. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby tym kimś był J. D.

Nagłe otwarcie drzwi do łazienki przerwało te niebezpieczne rozważania. Całą siłą woli zmusiła się, by nie odrywać wzroku od ognia.

Jednak unikanie J. D. było niemożliwe. Choć ta stojąca wśród drzew drewniana chatka posiadała wszelkie nowoczesne udogodnienia, jej metraż był niewielki. Mała sypialnia i łazienka były jedynymi pomieszczeniami z drzwiami. Połączona z salonem kuchnia zajmowała resztę powierzchni.

Kilka sosnowych foteli, obitych zwyczajnym materiałem w kratę, ustawiono tak, by siedzący mógł patrzeć w ogień i przez duże okno na zatokę.

– Czy to dla mnie?

J. D. stał przy kuchennym blacie i z nadzieją patrzył na kubek z gorącą czekoladą, który tam dla niego zostawiła.

Miał na sobie jej różowy szlafroczek i kiedy ujrzała jego zawstydzony uśmiech, nie była w stanie dotrzymać danej samej sobie obietnicy.

Uśmiechnęła się. A potem roześmiała.

– Bawi cię to? – spytał, kiedy w końcu zamilkła. – Niech ci będzie. Chciałbym jednak, żebyś wiedziała, że mini to nie mój rozmiar. A różowy nigdy nie był moim ulubionym kolorem.

Maggie odwróciła głowę, żeby stłumić kolejne parsknięcie.

– Wcale nie jestem taka pewna. Całkiem ci do twarzy w tym kolorze.

Tym razem uśmiechnęli się oboje. Maggie przecież nie mógł nie rozbawić widok takiego supermena w damskim łaszku. W dodatku za krótkim i za ciasnym.

– Przykro mi, że nie mam niczego większego. Dopóki nie wyschnie twoje ubranie, nic się nie da zrobić.

Z kubkiem kakao w ręku, przytrzymując poły szlafrocza, J. D. przeszedł przez pokój i usiadł na kanapie.

– Mogło być gorzej – rzekł, powstrzymując dreszcze i otulając się przygotowanym przez

Maggie kocem. Z figlarnym uśmiechem uniósł ramię i powąchał rękaw szlafroka, pachnący balsamem. – Jeszcze chyba nigdy w życiu tak ładnie nie pachniałem.

Znowu wymienili uśmiechy i Maggie aż się zdziwiła, że przyszło jej to z taką łatwością. Zaskoczyło ją też to, że mężczyzna w różowym damskim szlafrocuku może wyglądać tak seksownie.

Jego włosy były nadal mokre po kąpieli i zaledwie przeczesane palcami. Wyglądały tak naturalnie, że pewnie żadnemu fryzjerowi by się nie udało stworzyć takiej fryzury.

Wszystkie części jego ciała, których nie zakrywał szlafrok – a było ich wiele – rozświetlone były padającym z kominka blaskiem, podkreślającym piękną opaleniznę, złote, kręcone włoski na jego piersi i idealne rysy twarzy. Patrzył na nią znad kubka swymi niesamowitymi, błękitnymi oczami.

Maggie szybko odwróciła wzrok, zawstydzona, że dostrzegł jej zachwycone, taksujące spojrzenie. Ciekawe, jak by to było kochać się z J. D. Hazzardem, pomyślała.

I zamarła. Przeraziła się, że J. D. odczyta tę myśl w jej oczach.

Od lat mówiono, że jej największą i najcenniejszą zaletą jest umiejętność przekazywania szerokiej gamy uczuć samym spojrzeniem. Zrobiła dzięki temu majątek. Byłaby idiotką, spodziewając się, że akurat J. D. nie potrafi odczytać jej myśli.

Czekała, aż wykorzysta burzliwą noc, ciepły ogień i słabość samotnej kobiety. Kiedy tego nie uczynił, znów spojrzała mu w oczy, jakby pytała, dlaczego.

Odpowiedział na jej nieme pytanie delikatnym, swobodnym uśmiechem i głębokim westchnieniem. Potem znów zapatrzył się w ogień.

– Jestem ci winien przeprosiny, Długa – rzekł w ciszy, przerywanej tylko wyciem wiatru, dzwonieniem deszczu o szyby i trzaskiem płonących polan. – Naraziłem cię na niebezpieczeństwo.

Maggie owinęła się szczelniej kocem.

– To wcale nie było niebezpieczne. I przecież mnie nie prosiłeś, żebym cię ratowała. Sama podjęłam tę decyzję.

– Tak – rzekł po chwili J. D. – Rzeczywiście. Pozostaje tylko pytanie, dlaczego?

Poczuła na sobie jego ciepłe spojrzenie. Jeszcze mu nie odpowiedziała, a on był wyraźnie zadowolony z tego, co ujrzał.

– No, wiesz, po prostu nie mogłam zasnąć ani czymś się zająć – odparła. – Pod kołdrą miałam twego trzęsącego się psa i cały czas myślałam o tobie, rzucanym jak korek przez fale.

Na twarzy J. D. pojawił się uśmiech.

– Hersh czasami zachowuje się jak francuski piesek.

– A ty chemie udowadniasz, że jesteś tym samym lekkomyślnym bufonem co piętnaście lat temu.

Próbowała udawać oburzoną, ale nie bardzo jej to wyszło. W jej głosie brzmiała raczej tęsknota za dawnymi, dobrymi czasami.

– No, wiesz, wtedy byłem zakochany. Zakochany mężczyzna jest zdolny do wszystkiego.

– Nie byłeś mężczyzną. I nie byłeś zakochany – poprawiła go i powstrzymując się od uśmiechu, zdjęła z głowy ręcznik. – Byłeś natrętnym smarkaczem z nadmiarem szalejących

hormonów. I o ile dobrze pamiętam, wtedy też raz ocalałam ci życie.

– No tak, pozwoliłem ci myśleć, że tak było. Maggie obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

– Chcesz powiedzieć, że tego dnia, kiedy wskoczyłam za tobą do zatoki, nie miałeś żadnego skurczu?

J. D. uśmiechnął się słodko i niewinnie. Zupełnie jak anioł.

– Ty świnió – prychnęła Maggie, zła, że dała się tak oszukać. Fakt, że od tamtej pory minęło piętnaście lat, nie miał najmniejszego znaczenia.

– Bardzo cię przepraszam – rzekł, ale w jego głosie nie było nawet cienia żalu. – Facet czasami nie ma wyboru. I muszę stwierdzić, że było warto. W twoich ramionach, kiedy ciągnęłaś mnie do brzegu, czułem się jak w niebie.

– Chwycił ręcznik, którym w niego rzuciła, parsknął śmiechem i rozparł się wygodnie na kanapie. – A to sztuczne oddychanie usta-usta... Mmm, aż przez chwilę było mi głupio.

– Z ciebie naprawdę był kretyń, Hazzard – powiedziała, w jej głosie brzmiała jednak jakaś dziwna czułość.

Hazzard leniwie obrócił głowę w jej stronę i spojrzał na nią uważnie.

– A z ciebie piękność. I do dziś to się nie zmieniło.

– Przerwał i w jego oczach znów pojawił się szczery żal.

– Ale choć uczyniłbym wszystko, by się do ciebie zbliżyć, nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, by wyciągać cię na dwór w taką pogodę.

– Wiem – odparła wzruszona. – Nic mi się nie stało, więc nie ma sprawy.

– Ucierpiała tylko moja duma – mruknął.

– Szkoda, że nie zauważyłeś, iż świat już dawno porzucił tę głupią maksymę, że „prawdziwy mężczyzna nigdy nie płacze”. Może wkrótce uzna, że i różowy szlafroczek całkiem mu przystoi.

J. D. uśmiechnął się krzywo i dalej patrzył w ogień.

– Rozgrzałeś się już?

J. D. pociągnął łyk gorącego kakao.

– Pracuję nad tym.

– A samolot? Nic mu się nie stało? – spytała, by podtrzymać rozmowę. Bała się, że w przeciwnym razie powrócą znów te intymne myśli.

– Nic naprawdę poważnego. Zanim wyciągnąłem go na plażę, miał już paskudne rozdarcie w prawej płózie, ale teraz jest bezpieczny.

– Nie chcę być wścibska, ale wytłumacz mi, proszę, czemu ten wrak jest dla ciebie taki ważny?

W jego oczach pojawiła się miłość i duma.

– Pamiętasz Hanka Townsenda?

Maggie zmarszczyła brwi i pokręciła głową, bo to nazwisko nic jej nie mówiło.

– Stary Hank był chyba najlepszym przewodnikiem po tych okolicach. Był także jednym z najporządniejszych ludzi, jakich znałem, o bardzo silnym charakterze. Pierwszy raz byłem w powietrzu właśnie z Hankiem i to w tym samolocie. To po tym locie połknąłem bakcyła

latania. I w tym samolocie przeżyłem pierwszy dreszczyk emocji.

J. D. przerwał. Twarz mu posmutniała.

– Kiedy kilka lat temu dowiedziałem się, że Hank umarł, przyjechałem aż z Minneapolis, żeby złożyć kondolencje jego dzieciakom i w rezultacie kupiłem ten samolot. Jest ze mną od tamtej pory.

Jego opowieść była wzruszająca i świadczyła o dobrych cechach charakteru J. D. Wzbudziła w Maggie dawno zapomniane uczucia, które zdawały się jej zupełnie zbyteczne.

Nagle zgasło światło.

– Już od dawna się tego spodziewałam – stwierdziła i chciała wstać, by zapalić lampki oliwne.

J. D. powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Zostań – rzekł cicho. – Niepotrzebne nam lampki. Blask kominka zupełnie mi wystarcza.

Jej też wystarczał. Dodawał romantyzmu całej sytuacji. Posłuchała go z przyjemnością.

– Wspomniałeś o Minneapolis. Mieszkałeś tam wtedy? – spytała.

Przekonywała samą siebie, że pyta o to nie dlatego, bo interesuje ją jego życie, lecz by nie dopuścić do zbytnej intymności.

– I nadal mieszkam. – J. D. usiadł wygodniej i wyciągnął nogi w kierunku kominka. – Tam jest siedziba mojej firmy. Przewozy lotnicze – dodał, uprzedzając kolejne pytanie.

– Przewozy lotnicze?

– Tak. Centrala jest w Minneapolis, ale latamy z kilkunastu różnych miast.

– A więc jesteś poważnym biznesmenem. J. D. wzruszył ramionami.

– Miałem szczęście.

Maggie miała co do tego wątpliwości. W dzisiejszych czasach nie można liczyć na szczęście.

– Przyjechałeś tu na wakacje? J. D. uśmiechnął się.

– Mam kompetentnych współpracowników, więc zostawiam wszystko w ich rękach i spędzam tu lato.

Odnoszący sukcesy, pewny siebie, bystry. Mężczyzna, który nie uważa, że bez przerwy musi trzymać rękę na pulsie wszystkich spraw. Mogła mu tylko pozazdrościć. Ona też powinna taka być.

– Więc i tobie to jezioro jest bliskie – zauważyła cicho.

– O, tak – odparł, zsuwając się jeszcze niżej i bardziej wyciągając nogi. Wyglądał na swobodnego, zadowolonego i odpalonego. – To miejsce ma coś w sobie. Łączą się z nim niezapomniane wspomnienia. I pewne tradycje. Zacząłem tu przyjeżdżać z ojcem, kiedy miałem pięć lat. Od tamtej pory każdego lata choć na chwilę się tu pojawiałem. Choć z początku, kiedy dopiero rozkręcałem interes, bywał to czasem tylko jeden dłuższy weekend. Może w to nie uwierzysz – dodał z lekkim zawstydzeniem – ale nigdy nie straciłem nadziei, że znowu kiedyś cię tu zastanę.

Obrócił głowę w jej stronę i w nikłym świetle ognia poszukał wzrokiem jej oczu.

– Nigdy potem nie przeżyłem takiego lata jak to, kiedy się za tobą uganiałem.

Maggie przypomniła sobie tamto lato. Ten cudowny, wyjątkowy czas, kiedy dzięki Maxowi i Esther Snyderom czuła się ważna i kochana. W jej życiu spędzonym w kolejnych rodzinach zastępczych i kilku schroniskach dla nieletnich było to coś nadzwyczajnego.

– Od tamtej pory zawsze się tu za tobą rozglądałem, Długa.

Maggie na moment przerwała swoje rozmyślenia.

– Trudno mi w to uwierzyć – oświadczyła zdecydowanie, bojąc się, by ich rozmowa nie posunęła się za daleko.

J. D. nie próbował jej przekonywać. W każdym razie nie słowami. Uczyniło to jego spojrzenie. Błękitne oczy były aż nadto wymowne. Nie wierz, skoro tak wolisz, ale to prawda, powiedziały.

W głębi serca wierzyła mu, lecz wiedziała, że to właśnie serce może wpędzić ją w kłopoty.

– Widać nie było mi pisane, bym tu przyjechała – powiedziała, próbując zmienić temat rozmowy.

– A jednak w końcu tu się zjawiaś.

Po co, Maggie? Dlaczego? Tych pytań też nie zadał. Dostrzegła je w jego oczach. I kiedy tak na nią patrzył, jak chyba nikt nigdy, omal nie uległa i nie opowiedziała mu o Rolfie. Omal. Wiedziała, że nie może ulec tej słabości. Popijała kakao i patrzyła w ogień. Miała nadzieję, że J. D. uzna ten temat za zamknięty.

– Słyszałem, że Snyderowie nie żyją – rzekł z lekkim wahaniem. – Bardzo mi przykro. Strata dziadków musiała być dla ciebie bardzo bolesna.

Maggie skinęła głową. Nagłe wspomnienia sprawiły, że zdobyła się na odrobinę zwierzeń.

– To byli moi zastępczy dziadkowie – wyjaśniła, odpowiadając na malujące się w jego oczach pytanie. – I najwspanialszy ludzie, jakich znałam.

Znowu zapatrzyła się w ogień. Myślała o tych dwojgu cudownych, wspaniałych ludziach, którzy obdarzyli ją miłością.

Kiedy przed dwoma laty dowiedziała się o ich śmierci, poczuła, że utraciła coś bardzo ważnego, choć przecież odległego. Spędziła z nimi tylko jedno lato. Jedno bajkowe, niezapomniane lato z tą dwójką wyjątkowych ludzi, którzy zgodzili się być jej zastępczymi dziadkami i przyjęli ją do swojego domu.

Maggie wiedziała, że jest do nich przywiązana, ale dopiero po ich śmierci zrozumiała, jak bardzo. Spadek, jaki jej zostawili, świadczył, że i ona nie była im obojętna.

Najpierw zupełnie zwyczajnie sprawili, że poczuła się pewniejsza siebie, a potem też o niej nie zapomnieli. Podarowali jej ten domek. Nawet po śmierci zapewnili jej bezpieczne schronienie.

„Bo tam rozkwitłaś”, napisali po prostu w pożegnalnym liście. „Bo tam byłaś kochana”.

Maggie opłakiwała ich śmierć w sekrecie. Nikomu też nie mówiła o odziedziczonym domku.

Nikt jej tu nie mógł znaleźć. Nikt nie wiedział, że tu jest. Nikt oprócz J. D. Hazzarda. Nagle znów ogarnęła ją panika.



– Byłabym ci wdzięczna – zaczęła, ostrożnie dobierając słowa – gdybyś, kiedy jutro odjedziesz, nie mówił nikomu, że tu jestem. Jeśli... jeśli prasa dowie się o tej chatce, nie będę już mogła tu przyjeżdżać. Pojawią się reporterzy, fotografując wszystko, od moich brudnych talerzy po zawartość kubła na śmieci.

Nie tylko utrata prywatności groziła jej ze strony prasy. Gdyby reporterzy ją znaleźli, znalazłby ją i Rolfe. Przyjedzie tu, zanim ona nabierze dość sił, by stawić mu czoło.

Smutny wyraz twarzy J. D. powiedział jej, że przeholowała. Te wykrety w sprawie prasy były zupełnie niepotrzebne. Kiedy wspominała o naruszeniu prywatności, odczytał w jej oczach coś więcej niż tylko irytację. Wyczuł jej strach. Teraz zastanawiał się nad jego przyczyną.

– Dotrzymasz tej mojej małej tajemnicy, J. D.? – nie ustawała jednak. Chciała uzyskać obietnicę od tego człowieka, który już wcześniej udowodnił jej, że zawsze dotrzymuje słowa. Nawet jeśli musiał na to czekać piętnaście lat, a sprawa dotyczyła tylko pocałunku.

Patrzyła mu w oczy, a on nie spuszczał z niej wzroku.

– Każda dama może liczyć na moją dyskrecję – zapewnił ją z uśmiechem, pod którym jednak kryła się ciekawość i troska. – Szczególnie jeśli tą damą jesteś ty, Długa. Zapamiętaj to sobie – dodał z naciskiem. – Możesz na mnie liczyć. Zawsze. Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała.

Ciężar spadł jej z serca. Odetchnęła głęboko i podziękowała mu spojrzeniem, bo nie była w stanie nic powiedzieć. Nie była też w stanie się poruszyć, kiedy J. D. odstawił kubek i nachylił się w jej stronę.

– Jestem twoim mężczyzną, Maggie. – Musnął dłonią jej policzek. – Zawsze. W każdej sprawie.

Jego oczy były teraz granatowe jak niebo o północy i obiecywały rzeczy, w które Maggie tak bardzo chciała uwierzyć, ale brak jej było odwagi.

Był tak blisko niej, że widziała żyłkę pulsującą na jego szyi. Kiedy przysunął ku niej głowę, nie była w stanie się odsunąć.

Chciała poddać się urokowi tej chwili, znaleźć się w bezpiecznym porcie, którego szukała przez całe życie. Przytuliła policzek do ciepłej dłoni J. D., przymknęła oczy w oczekiwaniu na jego pocałunek i... nagle zerwała się na równe nogi.

Stała ze złożonymi na piersi rękami i szeroko otwartymi oczami. Oddychała głęboko.

Nie może na to pozwolić. Nie chce. Nie podda się jego pocałunkom. Już nigdy nie będzie od nikogo zależna.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem i bez słowa wyjaśnienia wybiegła do sypialni. Wygoniła stamtąd bardzo niezadowolonego Hersheya i głośno zamknęła drzwi.

Minęło wiele godzin, zanim zasnęła. Godzin spędzonych na dyskusji serca z rozumem. Leżała w ciemnościach i modliła się, by J. D. nie podszedł do drzwi sypialni. Potem błagała w duchu, by podszedł. Żeby zdjął z niej odpowiedzialność i wziął ją bez pytania, bez wahania.

Zawstydzona, zanurzyła twarz w poduszce. Była wściekła, że omal znowu nie uległa słabości, nad którą nie umiała panować, a którą Rolfe zawsze tak chętnie wykorzystywał.

A ona tylko chciała, żeby ktoś ją kochał. To przecież nie jest zbyt wiele pragnąć, by

komuś na niej zależało, by ją chronił i opiekował się nią. A także zagłuszył te wewnętrzne głosy, które od dzieciństwa się z niej wyśmiewały i naigrawały, przekonywały, że jest nic niewarta. Przez całe życie nabierała pewności, że jako człowiek w ogóle się nie liczy. Że jest tylko przedmiotem.

J. D. Hazzard sprawił, że zapragnęła przeciwstawić się tym głosom. Chciała zapomnieć, że jej własna matka jej się wyrzekła, a cały szereg zastępczych rodziców nie pokochał jej na tyle, by ją zatrzymać. Dzięki niemu chciała zapomnieć, że Rolfe Sebastian, o którym myślała, że kocha ją taką, jaka jest, zakochany był tylko w jej twarzy, ciele i zyskach, jakie mogły mu przynieść.

Maggie rzadko użalała się nad sobą. Tej nocy nie miała wyboru. I tylko strach przed kolejnym zawodem powstrzymywał ją przed rzuceniem się w ramiona temu mężczyźnie, który, przynajmniej tej nocy, sprawi, że ona zapomni o tym wszystkim, co ją dręczy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Rano było już po burzy. J. D. obudził się, czując na twarzy ciepło promieni słońca. Obok niego na kanapie leżał rozwalony Hershey. W kominku stygł żar wczorajszego ognia. Nie było tylko Maggie.

Przypomnił sobie jej dziwną, nagłą ucieczkę i ból w jej oczach.

Przetarł powieki i w zamyśleniu wpatrywał się w sufit.

Coś było nie tak w jej życiu. Był o tym przekonany. Choć bardzo dzielnie starała się to zwalczyć, nie potrafiła ukryć swych prawdziwych uczuć. Nie z taką twarzą. Z tą piękną, tragicznie smutną twarzą, na której malowały się wszystkie przeżycia i uczucia. W pokera przegrałaby z kretesem. Tak jak prawie przegrała minionej nocy. Omal nie poddała się i nie opowiedziała mu o wszystkim.

Ten mały, drewniany domek nie tylko ochronił ich przed burzą. Izolował także od reszty świata. I stworzył nastrój intymności, sprzyjający zwierzeniom i zaufaniu. A potem on wszystko zepsuł. Próbował ją pocałować i wtedy w jej oczach znów pojawił się ten strach. Później uciekła. Wcześniej jeszcze zdążyła wymóc na nim obietnicę, że zatrzyma w tajemnicy jej obecność w tej okolicy.

Nie musiała tego robić. Ani mu w głowie było opowiadanie o Maggie komukolwiek. Chciał ją mieć tylko dla siebie. Przypomnił sobie dotyk jej policzka na swojej dłoni. Już chciał jej powiedzieć – okazać właściwie – jak mu na niej zależy, kiedy nagle jak oparzona zerwała się z kanapy.

J. D. usiadł i przeczesał palcami włosy. Całą noc zastanawiał się nad przyczyną tego bólu i smutku w jej oczach. Denerwowało go jej uparte milczenie na ten temat. Uświadomiło mu także, że wśród wielu uczuć, jakie w nim wzbudziła, było także bardzo silne poczucie odpowiedzialności.

Nie wierzył w zrządzenie losu ani w przeznaczenie, ale był przekonany, że ich przypadkowe spotkanie po tylu latach nie zdarzyło się bez powodu. Przez cały czas śledził jej karierę. Jeździł po całym świecie i często odwiedzał Nowy Jork. Nieraz mógł próbować się z nią spotkać. Coś go jednak powstrzymywało. Dopiero teraz, kiedy byli w tym domku, uświadomił sobie, że czekał, aż Maggie wróci nad jezioro, nad którym się poznali.

I w końcu wróciła. Po piętnastu latach. Na pewno nie bez powodu. Ten fakt, musi coś znaczyć.

Byłby idiotą, gdyby nie wykorzystał możliwości, którą życie podało mu na srebrnym talerzu. Maggie tu jest. Są razem. A on zrobi wszystko, by tak już zostało.

Jedynym problemem pozostawało jej milczenie. I ten tragiczny smutek w jej oczach.

– Nie pozwalaj sobie – mruknął, kiedy Hershey wykorzystał jego zmianę pozycji i rozciągnął się jak długi na całej prawie kanapie.

Pies tylko jęknął z rozkoszy i przewrócił się na plecy. J. D. westchnął, lecz posłusznie zrobił mu miejsce.

– Twój problem polega na tym, że chwilami zapominasz, który z nas dwóch jest psem –

mruknął, głaszcząc zadowolone zwierzę po brzuchu. – A mój problem – dodał, wstając i owijając się kocem – polega na tym, że muszę rozwiązać problem Maggie Adams i przekonać się, czy jest szansa, że stanę się istotnym elementem jej życia.

Przykucnął przed kominkiem, dorzucił drewna i próbował ożywić wczorajszy ogień. Choć dzień zapowiadał się piękny i gorący, po wczorajszej burzy w domku było jeszcze chłodno i wilgotno.

J. D. spojrzął na zegarek i zdziwił się, że jest już kilka minut po siódmej. Rozpaliwszy ogień, zajrzał do komody, szukając czegoś, czym mógłby podtrzymać koc, stanowiący teraz jego jedyne okrycie.

– Bratnia dusza – mruknął z pełnym zadowolenia uśmiechem, kiedy w jednej z szuflad znalazł rolkę samoprzylepnej taśmy. Oderwał spory kawałek i okleił nim sobie koc wokół talii.

Rozejrzał się po pokoju i zauważył, że drzwi do sypialni są otwarte. Przeszedł bosy po zniszczonej drewnianej podłodze i zajrzał do środka.

Łóżko było zaścielone, ale Maggie zniknęła. W tej samej chwili usłyszał kroki za frontowymi drzwiami.

– Ranny z ciebie ptaszek – rzekł, otwierając drzwi. Czarne, lodowate oczy, których spojrzenie napotkał, nie należały jednak do Maggie, lecz do wysokiego, barczystego mężczyzny.

Abel Greene był wyższy od J. D. o kilka centymetrów i cięższy o dobre dziesięć kilogramów.

Czarne, długie włosy przytrzymywane ciemnoniebieską bandaną podkreślały jeszcze jego groźne, dzikie spojrzenie i potwierdzały krążącą po okolicy plotkę, że jest synem francuskiego handlarza futer i Indianki. J. D. wcale nie był szczęśliwy, widząc go przed drzwiami domku Maggie.

– Co ty tu, do cholery, robisz, Greene?

Abel Greene wpatrywał się w niego z kamienną twarzą. Nie było na niej nawet śladu onieśmienia. To właśnie ten wyraz całkowitej obojętności zyskał mu opinię pozbawionego uczuć samotnika i uczynił przedmiotem plotek całej okolicy. Na żarty pozwalano sobie tylko za jego plecami.

J. D. interesował się tym człowiekiem, ale z niego nie żartował. Jego stosunek do Greene'a, oparty na kilku z nim spotkaniach, był raczej pełen szacunku i uzasadnionej ciekawości. Niechętnie zaakceptował także podejrzenia Wydziału Ochrony Środowiska, że Greene może mieć jakieś związki z kłusownikami, polującymi w tej okolicy na czarnego niedźwiedzia.

W tej chwili interesowało go jednak tylko to, dlaczego ten olbrzym znalazł się przed drzwiami domku Maggie.

– Pytałem, co tu robisz, Greene? Greene odpowiedział mu pytaniem.

– Gdzie jest Maggie?

Ton jego głosu był raczej rozkazujący niż pytający. J. D., zły, że facet nie tylko tak się zachowuje, ale i najwyraźniej uważa, że ma prawo pytać o Maggie, złożył ręce na piersiach i

groźnie zmarszczył brwi.

Zachmurzył się jeszcze bardziej, kiedy towarzyszący Greene'owi pies – wielkości małego kucyka i z miną wilka – zaskomlał i zaczął drapać w drzwi.

– Nashata, spokój – rozkazał krótko i zdecydowanie Greene.

Pies posłuchał, przysiadł na moment, po chwili znów wstał i niepewnie machając ogonem patrzył przez szybę na zainteresowanego tą sytuacją Hersheya.

J. D. przyglądał się teraz paskudnej, biegnącej od skroni do policzka, szramie na twarzy Greene'a. Mówiono, że to dzieło niedźwiedzia. Dodawała mu ona tajemniczości i czyniła jeszcze bardziej interesującym.

J. D. nie mógł także zignorować faktu, że Abel Greene i Maggie dobrze się znają. Wcale mu się to nie podobało.

Nie był też zachwycony, kiedy na dźwięk zbliżających się kroków Greene wyraźnie się rozpromienił, a pies bez wahania podbiegł do Maggie, domagając się pieśczot.

Ubrana w zwyczajny, szary dres i znoszone adidas, z zarumienioną twarzą i kropelkami potu na czole, Maggie podeszła do Abla.

– No, no – powiedziała, oddychając ciężko po niedawnym biegu – zdaje się, że ostatnio mam szczęście do nie zapowiedzianych gości.

Obdarzyła Abla uspokajającym spojrzeniem. J. D. poczuł jakiś dziwny skurcz w żołądku. Na niego nigdy nie spojrzała z takim zaufaniem. Postanowił sobie na to zasłużyć. I to jak najszybciej.

– Co cię tu dziś sprowadza, Abel? – spytała, odgarniając włosy z czoła.

– Ta wczorajsza burza – odparł szorstkim, wyraźnie rzadko używanym głosem. Czuło się jednak w nim pewną czułość. – Chciałem sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku – dodał, spoglądając znacząco na J. D.

– W absolutnym – rzekł J. D. Otworzył szeroko szklane drzwi i wyszedł na zewnątrz. – Jej w każdym razie nic się nie stało.

Hershey wymknął się tuż za nim. Obwąchał ostrożnie sukę Greene'a, parsknął wesoło i popędził w las. Suka, po przyzwalającym skinieniu swego pana, podążyła za nim.

– Wszystko dobrze, Abel. – Maggie uspokajającym gestem położyła rękę na ramieniu gościa. – J. D. miał kłopoty z silnikiem. Nie udało mu się go wczoraj naprawić, więc spędził tu noc.

Greene zmierzył J. D. od góry do dołu swym ponurym, nieprzeniknionym spojrzeniem. Zauważył jego poranny zarost, rozczochrane po śnie włosy i nagie ciało, osłonięte tylko oblepionym taśmą kocem.

– Zaskoczyła go burza – dodała Maggie, jakby w odpowiedzi na taksujące spojrzenie Abla, potem zmarszczyła brwi i spojrzała na J. D. – Twoje dzinsy są już prawie suche – powiedziała, wskazując głową w kierunku domku, gdzie powiesiła je przy ogniu. – Z butami będziesz się jednak chyba musiał pożegnać, a bluza została na pomoście.

Nie odrywając wzroku od Greene'a, J. D. skinął głową w kierunku jeziora.

– Mam w samolocie torbę z zapasowymi rzeczami. Może nie wszystkie przemokły.

Greene jeszcze raz obrzucił nagi tors J. D. uważnym spojrzeniem.

– Może dobrze by było, gdybyś po nie poszedł. Aluzja w jego głosie była aż nadto wyraźna. J. D. zacisnął zęby, wyprostował się i spojrział spod oka na Greene’a.

– Ja je przyniosę – wtrąciła się wyraźnie zaniepokojona Maggie.

– A w tym czasie – dodała z lekką irytacją – może któryś z was zaparzy kawę. I dopóki nie wrócę, ograniczcie się tylko do wymiany spojrzeń, dobrze? Bo jeśli zauważę jakieś guzy czy siniaki, to, Bóg mi świadkiem, jak wrócę, dodam wam jeszcze po kilka.

Pogroziła im palcem i zostawiła samym sobie.

Z nagim ciałem pokrytym gęsią skórą i z zeszywniałymi z zimna sutkami trudno wyglądać imponująco, więc J. D. nie pozostało nic innego, jak podciągnąć wyżej koc i wrócić do domku.

Greene westchnął głęboko i podążył za nim. Zajął się kawą, a J. D. podsycił ogień.

– Widzę, że czujesz się tu jak u siebie – zauważył z rozdrażnieniem Hazzard, patrząc, jak Greene pewnym ruchem otwiera jedną z szafek i wyjmuje stamtąd puszkę z kawą.

– A ty wyraźnie nadużywasz gościnności... – Greene przerwał na moment i jeszcze raz obrzucił J. D. taksującym spojrzeniem – mojej przyjaciółki.

– Przyjaciółki? – spytał J. D. Było aż nadto wyraźne, że domaga się od Greene’a jakiegoś dodatkowego wyjaśnienia.

– Przyjaciółki – powtórzył po dłuższej chwili Greene, ale za to tak szczerze, że J. D. porzucił wszelkie wątpliwości co do charakteru jego znajomości z Maggie.

Poczuł ulgę, a nawet radość, że Abel nie interesuje się Maggie jako kobietą, nie podobało mu się jednak, że jest z nią tak zaprzyjaźniony.

– W marynarce służyłem w oddziale remontowym – rzekł Greene, rozlewając gotową już kawę do dwóch filiżanek. Jedną z nich podsunął w stronę J. D. – Mógłbym rzucić okiem na twój samolot.

I wysłać mnie do diabła, pomyślał J. D. Miał nadzieję, że Greene nie zaglądał jeszcze do silnika jego cessny. Uznał jednak, że gdyby tak było, zauważyłby rozłączony przewód paliwowy i natychmiast wyciągnął z tego właściwy wniosek. J. D. nie stałby tu wtedy tak spokojnie. Greene rozerwałby go na strzępy, a w każdym razie by próbował.

– Dzięki, ale nie trzeba – odparł, opierając się o blat kuchenny. – Na pewno sam dam sobie radę. Muszę tylko stwierdzić, w czym jest problem.

Greene kiwnął głową. Po chwili spróbował pobić J. D. jego własną bronią. Przyjął rolę opiekuna Maggie.

– Jak do tego doszło, że znalazłeś się w domku Maggie? – spytał.

Wbrew samemu sobie J. D. poczuł szacunek do tego ogromnego mężczyzny. Greene miał teraz na uwadze przede wszystkim dobro Maggie. J. D. nie mógł tego nie docenić. Trudno jednak powiedzieć, by był tym zachwycony.

– Maggie i ja znamy się od lat – rzekł uspokajająco.

– Miałem szczęście, że wczoraj udało mi się wylądować właśnie w Zatoce Błękitnych Czapli. Szczególnie że zastałem tu Maggie.

Miał nadzieję, że Greene zrozumie, iż jego znajomość z Maggie to coś dużo głębszego niż przyjaźń. Stracił jednak sporo pewności siebie, kiedy do domku weszła Maggie i rzuciła

na podłogę worek z jego rzeczami.

– Na miłość boską, Hazzard, chyba wszystkie twoje rzeczy trzymają się kupy tylko dzięki samoprzylepnej taśmie.

J. D. spojrział na mocno sfatygowany worek, który, musiał to przyznać, był posklejany taką właśnie taśmą.

– Cały świat można sklecić do kupy dzięki tej taśmie – próbował się bronić. – To najlepszy wynalazek od czasów śmigła.

Maggie wzruszyła tylko ramionami i naląła sobie kawy.

– No i jak? – spytała. – Poznaliście się trochę lepiej?

– Bardzo miło sobie gawędziliśmy – odparł J. D. ze słodkim jak sacharyna uśmiechem. – I właśnie Greene mi mówił, że musi już nas pożegnać, prawda, Greene?

Abel zupełnie go zignorował.

– Potrzebujesz jeszcze mojej pomocy, Maggie?

– Dzięki, Abel. Wiem, że wszystkim się już zająłeś. Na pewno nic mi nie trzeba.

Słyszając tę przyjazną, ale wyraźną odprawę J. D. aż się rozpromienił. Dalsze słowa Maggie jednak całkowicie go zaskoczyły. I to nieprzyjemnie.

– Jak tylko Hazzard stąd zniknie, wszystko będzie w zupełnym porządku.

Greene wypił ostatni łyk kawy i odstawił kubek na blat. Wyraźnie miał ochotę zostać i upewnić się, że tak się właśnie stanie.

– Zjrzę tu jeszcze przed zachodem – rzekł jednak tylko. Nie musiał mówić nic więcej.

– Nie ma potrzeby – powiedziała Maggie, odprowadzając go do drzwi. – Wiem, że masz co robić. Nie musisz się o mnie martwić. Wszystko jest w porządku.

J. D. zauważył, jak bardzo Maggie stara się wszystkich o tym przekonać. Patrzył w zamyśleniu za znikającym wśród drzew Greene'em i jego psem. Na razie niezbyt jej się to udaje. J. D. nadal bardzo się niepokoił jej przyjaźnią z tym dziwnym mężczyzną.

Nie wierzył we wszystkie straszne historie opowiadane w miejscowych barach, podsycające tylko legendę Abła Greene'a. Uważał, że każdy człowiek wybiera sobie swój własny styl życia i towarzystwo. Skoro Greene wybrał samotność, to jest to tylko i wyłącznie jego sprawa. Było w nim jednak coś niepokojącego i choć J. D. wątpił, by ten człowiek miał coś wspólnego z kłusowaniem, pewnych faktów nie można było ignorować.

– Ty to masz tupet, Hazzard.

Maggie weszła do domku i zatrzasnęła za sobą drzwi. Tuż przed nią wsunął się Hershey.

– Co ja takiego zrobiłem? – spytał z niewinną miną J. D. Uznał, że może sobie na to pozwolić, skoro jest przynajmniej ubrany adekwatnie do tej roli.

Maggie obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Nie potrzebuję cię jako obrońcy.

Nie chciało mu się przekonywać jej, że właśnie dokładnie o to mu chodzi.

– Ale Greene znakomicie się do tej roli nadaje – odparował z chytrym uśmieszkiem.

Maggie chciała coś powiedzieć, otworzyła nawet usta, ale zaraz je zamknęła. Pokręciła tylko głową.

– Nie mam zamiaru o tym z tobą dyskutować. W ogóle nie mam zamiaru z tobą

rozmawiać.

Podniosła z podłogi jego worek i wcisnęła mu w rękę.

– Sypialnia jest tam.

J. D. uznał to za idealny wstęp do maleńkiego flirtu.

– Szkoda, że nie mamy teraz czasu – mruknął pod nosem i ruszył do sypialni. Nie pozostało mu nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry.

Chwilę później zjawił się w kuchni w suchych skarpetkach, dzinsach i brązowej bluzie. Wiedział, że przeciąga strunę, ale postanowił wypić jeszcze trochę kawy.

Maggie z prawie pustym kubkiem w ręku siedziała w fotelu przed olbrzymim, panoramicznym oknem.

J. D. podszedł do niej z dzbankiem i wlał kawę do jej kubka, który mu niezbyt chętnie podsunęła.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – rzekł ostrożnie. Maggie ciężko westchnęła.

– O co ci chodzi?

J. D. usiadł na krześle naprzeciwko niej. Grzejąc dłonie o kubek, patrzył na spokojną zatokę.

– Chodzi mi o to, że powinnaś być ostrożniejsza w doborze przyjaciół.

Nawet nie próbowała udawać, że nie rozumie jego intencji. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Abel to najdelikatniejszy człowiek, jakiego znam – powiedziała gniewnie.

– Mówię tylko, że powinnaś być bardziej ostrożna – powtórzył spokojnie J. D.

– Nie. Wcale nie to chciałeś powiedzieć. Właściwie w ogóle nic nie powinieneś mówić.

Za dużo insynuujesz. Co konkretnie masz przeciwko Ablowi?

J. D. wahał się przez chwilę. W końcu jednak uznał, że Maggie powinna poznać prawdę.

– Być może jest zamieszany w coś, co martwi wszystkich mieszkańców tej okolicy.

Kłusownictwo – wyjaśnił, widząc, że Maggie marszczy brwi.

Była wyraźnie zaskoczona.

– Kłusownictwo? J. D. skinął głową.

– Polowanie na czarne niedźwiedzie. Maggie wciąż była zaskoczona.

– Uważasz, że Abel ma z tym coś wspólnego?

– Wolałbym, żeby tak nie było – odparł.

To była prawda. Wolałby nie myśleć źle o Greenie. Informacje o jego wyczynach uznawał za częściowo zmyślane, za wynik oceny jego pustelniczego życia. Jego małomówność i pewna tajemniczość stanowiły znakomitą pożywkę dla niesamowitych opowieści, które w długie, zimowe wieczory snuli znudzeni tubylcy.

– Wolałbym, żeby tak nie było – powtórzył – ale nie mogę zapominać, że Greene ma nie tylko okazję, ale i motyw.

Maggie w zamyśleniu wpatrywała się w swój kubek.

– Okazję?

J. D. pochylił się ku niej i oparł łokcie na kolanach.

– Jego chata stoi w samym środku obszaru lasów północnych.

– Moja też – zauważyła szybko Maggie. – Ale to nie znaczy, że uganiam się za



niedźwiedziami z latarką i strzelbą.

– Zapominasz o motywie.

Maggie podciągnęła kolana pod brodę.

– No to mnie o nim łaskawie poinformuj.

– Z zabijania czarnych niedźwiedzi można ciągnąć olbrzymie zyski. Niektóre ludy azjatyckie uważają ich woreczki żółciowe za cenny afrodyzjak.

Maggie wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Tak – mruknął J. D. – To wstrętne.

– Abel nie jest człowiekiem, któremu zależy na pieniądzach.

Dalej uparcie wpatrywała się w zatokę. J. D. przez chwilę studiował jej profil.

– Zgadzasz się – rzekł w końcu. – Zemsta może być jednak jeszcze silniejszym motywem.

– Zemsta? Masz na myśli jego szramę? J. D. wzruszył ramionami.

– Różnie o tym mówią. Jedni twierdzą, że zaatakował go samotny, pięćsetkilowy niedźwiedź. Inni opowiadają o niedźwiedzicy, broniącej małych.

– Założę się, że nikomu nie wpadło do głowy, by jego samego o to zapytać.

– Chyba nikt nie miał dość odwagi – odparł z uśmiechem J. D.

Słyszając te słowa, Maggie też zdobyła się na lekki uśmiech.

– Zrozum mnie, Długa, nie żartowałem, mówiąc, że wolałbym nie wierzyć, że Greene ma z tym cokolwiek wspólnego. Jest jednak na liście podejrzanych i dlatego, według mnie, może być niebezpieczny.

Maggie pociągnęła łyk kawy.

– A co to wszystko ciebie obchodzi?

– Podczas wczorajszego lotu nad tymi lasami właśnie rozglądałem się za kłusownikami.

– Patrolowałeś tę okolicę? Jesteś leśnikiem?

– Pewnie, że nie. Ale mało tu ludzi i sprzętu. Kiedy tylko mogę, zgłaszam się do pomocy w różnych akcjach.

– Na przykład?

– Na przykład szukam ewentualnych pożarów lasów. Albo ostrzegam o zbliżających się huraganach. Czasem po prostu wykonuję rutynowe loty patrolowe.

– A więc wczoraj obserwowałeś chatę Abła.

– Patrolowałem po prostu tę okolicę – sprecyzował. – Przypadkowo chata Abła też tu stoi.

– Dobrze, że to zauważyłeś. Mój domek też przypadkowo tu jest. – Popatrzyła na niego uważnie. – Abel nie ma nic wspólnego kłusownictwem. To po prostu niemożliwe.

J. D. westchnął ciężko. Był poruszony jej lojalnością.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Zdobądź się jednak na odrobinę obiektywizmu.

– Patrzcie, kto to mówi – parsknęła śmiechem Maggie.

– Chodzi ci o mój samolot?

– Owszem.

– Kiedyś cię nim przewiozę.

– Prędkiej mi kaktus wyrośnie na dłoni.

– To brzmi jak wyzwanie, panno Adams.

– Chyba więc ma pan kłopoty ze słuchem, panie Hazzard. Zapewniam pana jeszcze raz, że nigdy w życiu nie wsiądę do pańskiego gruchota.

Była to ta sama uparta, stanowcza Maggie, jaką znał z dawnych czasów.

– Zobaczymy.

– Nie masz czasem czegoś do roboty?

– Czegoś innego niż rozmowa z tobą? Maggie zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu.

– Czegoś innego niż ta rozmowa.

Jej zdecydowanie i determinacja wyraźnie słabły. J. D. widział to na jej twarzy. Coraz trudniej było Maggie powstrzymać się od uśmiechu.

A jemu coraz trudniej było nazwać to, co się między nimi działo, zwyczajnym flirtem. Od chwili kiedy ujrzał ją na pomoście i serce zaczęło mu szybciej bić, stało się z nim coś dziwnego.

Dopiero po kąpieli w zatoce, nocy spędzonej na kanapie w domu Maggie i niespodziewanej wizycie Abla Greene'a udało mu się pozbierać myśli.

I doszedł do rozstrzygającego wniosku.

– Tak naprawdę to wcale nie chcesz, żebym sobie poszedł, prawda, Maggie? To nic strasznego. Możesz się do tego przyznać.

Maggie zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

– W moim zawodzie spotykam wielu pewnych siebie przemądrzalców. Ty jednak chyba bijesz ich wszystkich na głowę. Ciągłe mnie nie rozumiesz. Nie zapraszałam cię tutaj i nie prosiłam, żebyś został.

– Do czego zmierzasz? – spytał, udając zainteresowanie.

Maggie złożyła ręce na piersiach i odetchnęła głęboko, by powstrzymać uśmiech.

– Widzę, że postanowiłeś udawać tępego.

– To jedna z moich skuteczniejszych broni. Nagrodą za tę niezbyt mądrą uwagę był jej wymuszony uśmiech.

– A to jedna z twoich – zauważył. – Masz piękny uśmiech, Długa. Powinnaś to robić częściej.

W tej samej chwili postanowił, że już dłużej nie będzie walczył z pragnieniem, by jej dotknąć.

Kiedy jednak dotknął palcem kącika jej ust, uśmiech zniknął z jego twarzy. Prawda nareszcie do niego dotarła.

– Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia, Maggie?

W jego głosie brzmiała wyraźna radość z tego odkrycia.

Spojrzała mu w oczy. Próbowwała udawać nieporuszoną tym niespodziewanym wyznaniem. Pokręciła nawet z niedowierzaniem głową.

Niezbyt jej się to udało, co J. D. skwitował pełnym zadowolenia uśmiechem.

– Już kiedy miałam szesnaście lat, ten tekst na mnie nie działał, Hazzard. Teraz też nie masz na co liczyć.

– Jest wiele rzeczy, na które nie liczę – odparł J. D. coraz bardziej przekonany o tym, co przez większość życia starał się ukrywać. – Na przykład pogoda. Rynek papierów

wartościowych. Wygrana Chicago Bulls. – Kiedy nieopatrznie spojrzała mu w oczy, wytrzymał jej wzrok. – Jednak jedyną rzeczą, na którą mogę liczyć, jest moje uczucie do ciebie.

– Och, daj spokój – mruknęła z udawanym zniecierpliwieniem. W jej oczach zabłysła jednak odrobina nadziei i strachu. To pierwsze go zachwyciło, drugie boleśnie zasmuciło.

– Czy to takie nieprzyjemne, Maggie? Że uważam cię za najbardziej fascynującą, najpiękniejszą i najbardziej godną pożądania kobietę na świecie?

Maggie zerwała się z fotela i zdecydowanym krokiem podeszła do kuchennego blatu.

– Nie odróżniasz ziarna od plew, Hazzard. Znowu przemówiły twoje hormony. Wszystko ci się pokręciło.

Kiedy podszedł do niej, zauważył, jak bardzo drżą jej ręce. Położył na nich swoją dłoń. Potem objął Maggie i obrócił ku sobie.

– Myślę, że nie tylko mnie wszystko się pokręciło, co? – Kiedy na niego spojrzała, pogładził ją uspokajająco po ramieniu. – Nie chcesz na mnie reagować, Maggie, ale reagujesz. Widzę to w twoich oczach. Nie. Nie odwracaj wzroku.

Głębokim westchnieniem próbowała dodać sobie otuchy.

– Będzie nam dobrze razem, Długa – szepnął, gładząc ją po włosach. – Pomyśl o tym.

Bóg tylko wiedział, o czym myślał on sam. Powstrzymując się od czegoś więcej, złożył leciutki pocałunek na jej wargach. Kiedy nie zaprotestowała, przyciągnął ją mocniej do siebie.

– Pomyśl i o tym – szepnął, przywierając do niej całym sobą, pozwalając, by poczuła moc jego podnieconej męskości. – O tym, jak bardzo cię pragnę. Jak bardzo zawsze cię pragnąłem.

Zanurzył twarz w jej pachnące, jedwabiste włosy.

– I kiedy dziś w nocy będziesz leżała samotnie w swoim łóżku, zastanawiając się nad tym, co stało się dziś rano, pomyśl, że mógłbym tam leżeć z tobą. Dotykać cię...

Maggie zadrżała, ale nie odsunęła się od niego, kiedy wsunął rękę pod bluzę i zaczął pieścić gorącą skórę, muskać palcem jej sutki.

– Pomyśl, że mógłbym się z tobą kochać... Całował teraz jej szyję, a jego dłoń zsuwała się coraz niżej. W końcu delikatnie, lecz zdecydowanie spoczęła na tym szczególnym, gorącym miejscu, w które tak bardzo pragnął wejść.

– Pomyśl o mnie – szeptał, czując, jak Maggie drży pod wpływem jego pieszczot. – Pomyśl o mnie i wiedz, że wcale nie musisz być sama.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Maggie patrzyła przez okno, jak J. D. wypływa na otwarte wody. Dotykała drżącymi palcami swych ust, czuła na nich żar jego pocałunku, a na całym ciele jego pieśczoć.

– Wróć – szepnął, po czym wziął swój worek, zawołał psa i odszedł.

Kiedy patrzyła, jak odchodzi, kłębiła się w niej jakaś niesamowita mieszanka pożądania i rozpacz. Wiedziała, że dotrzyma obietnicy i wróci. Była tak pewna jego powrotu, jak tego, że chce, by odszedł. Choćby tylko po to, by mogła się pozbierać i zastanowić, co się z nią dzieje.

To wyłącznie sprawa seksu, przekonywała żarliwie samą siebie. J. D. to piękny mężczyzna. Ale Maggie przywykła do pięknych mężczyzn. Fakt, że ten człowiek tak na nią działa, że wyzwała w niej zupełnie nieznanne reakcje i emocje, nie oznacza jeszcze, że to seks jest motorem jego działania.

Maggie westchnęła głęboko, nazwała siebie idiotką i oparła głowę o framugę okna. Seks nie jest ocaleniem. Jest niewolą. Już nigdy nie pomyli go z miłością.

Nigdy nie zadowoli się samym seksem.

Nie zapłacze się w żaden wyłącznie fizyczny związek z J. D. Przynajmniej o tym przekonywał ją rozsądek, który przypominał, że minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy ten mężczyzna spadł z nieba i wylądował na wodach zatoki. Żadna normalna kobieta nie zaczęłaby tak szybko myśleć o seksie czy ocaleniu.

Rosądek miał jednak niewiele wspólnego z tym, co czuła, patrząc na oddalającą się cęsnę.

Idiotko, idiotko, idiotko, strofowała się w myślach. Choć wydawało się to niepojęte, pozwoliła, by J. D. stał się jej bliski. Chciała wierzyć, że to, co do niej czuje, jest czymś więcej niż tylko pożądaniem. Pragnęła tego. Jego zniewalający uśmiech, poczucie humoru, swoboda i bezpośredniość osłabiły jej opór. Po raz pierwszy od czasów, kiedy ukradziono jej resztki niewinności, zapragnęła uwierzyć w miłość. Chciała też wierzyć, że J. D. może ją jej dać.

Zdegustowana własnymi myślami odwróciła się od okna. Postanowiła zignorować tę wszechogarniającą tęsknotę. Poczła się nagle bardzo zmęczona. Zrzuciła dres i ruszyła do łazienki.

– Przypomnij sobie, po co tu przyjechałaś – powiedziała głośno. – Chciałaś być sama. Chciałaś zapomnieć. Wylizać rany.

Zanim tak niespodziewanie zjawił się J. D., była już na dobrej drodze. Teraz, kiedy znowu została sama, trzeba do tego wrócić.

Maggie wysuszyła włosy, włożyła cienki bawełniany sweter i szorty, dołała sobie kawy i zeszła na pomost.

Przy brzegu pływała flotylla pelikanów. Słońce i drobne, białe chmurki odbijały się od gładkiej, kryształowej powierzchni zatoki.

Było to piękne miejsce. Tak cudownie odludne. Maggie spokojnie popijała kawę. Miała

nadzieję, że uciekła dość daleko od Nowego Jorku, by Rolfe jej nie znalazł. Paryż okazał się zbyt blisko. Kiedy po raz pierwszy postanowiła odejść od Rolfe'a, nawet dzielący ich ocean nie okazał się dla niego wystarczającą przeszkodą.

Wdychała głęboko świeże, poranne powietrze, cieszyła się słońcem, tonęła w ciszy. Nie próbowała się oszukiwać.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli zdecyduje się wrócić do swego dawnego życia, konfrontacja z Rolfe'em będzie nieunikniona. Na samą myśl poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka. Owszem, stawia mu czoło. Ale jeszcze nie teraz. Potrzebuje czasu. Czasu, by nabrać sił i nie ulec jego prośbom, nie przestraszyć się jego gróźb.

Do wczoraj obserwowała stały wzrost swojej siły woli. Potem pojawił się J. D. i zachwiały skałą, na której sądziła, że stoi. Zdumiewał ją jego tupet. Po tylu latach spadł tu prosto z nieba, ośmielił się ją pocałować – i to nie raz – a potem spytał, czy wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia.

Powinna być wściekła jak diabli. Nie tylko z powodu jego niesamowitego uporu i wytrwałości. Zakłócił przecież także jej życie. A jednak ile razy o nim pomyślała, czuła jakieś dziwne ciepło, które przywodziło jej na myśl poczucie bezpieczeństwa i dobry, oszałamiający seks.

Uśmiechnęła się, przypomniawszy go sobie znów w jej różowym szlafrocuku. Wiedziała jednak, że ten człowiek oznacza kłopoty.

Dotrzymywał także słowa. Kiedy zjawił się następnego popołudnia, Maggie nadal nie wiedziała, co z tym wszystkim zrobić.

J. D. nie miał najmniejszych wątpliwości, co chce zrobić z Maggie.

Najpierw chciał sprawić, by się uśmiechała i śmiała. Potem zrobi wszystko, by była jego. W końcu zaś pozna ten jej głęboko skrywany sekret. Ten, który nadaje jej oczom tyle smutku i niepokoju, a jego przyprawia o ból i cierpienie. Kiedy już go pozna, postara się wszystko naprawić.

– Szkoda, że nie możesz siebie usłyszeć, Hazzard – mruknął, podpływając cessań do brzegu. – Prawdziwy z ciebie sir Lancelot.

Jeszcze nigdy nie był niczym rycerzem. Nawet nie wpadło mu to do głowy. Teraz chciał nim być dla Maggie.

– Zachowujesz się też jak zakochany szczeniak. Nie obraż się, Hersh – dodał, kiedy pies spojrzał na niego swymi smutnymi, brązowymi oczami.

– Nawet mówisz sam do siebie. Wpadłeś po uszy – przyznał, ale wcale nie było mu głupio.

Otworzył drzwiczki kabiny i podniecony jak spieszący się na pierwszą randkę nastolatek, wyskoczył na brzeg.

Miał dwa dni i dwie noce, by zastanawiać się nad swym stosunkiem do Maggie. Dwa dni i dwie noce w porównaniu z trzystu sześćdziesięcioma pięcioma dniami każdego z minionych piętnastu lat to niewiele. I choć zdawał sobie sprawę, że pośpiech może być tu niewskazany, postanowił pójść na całość.

Zakochał się w niej wiele lat temu. Od tamtej pory żył w jakiejś dziwnej mgle. Nie uświadamiał sobie, że to ta kobieta sprawiła, iż sprawy męsko-damskie nigdy mu się nie układały.

– No to do dzieła – rzekł z uśmiechem, biegnąc poprzez las do jej domku.

Czekała na niego na ganku. Miała poważną minę. Usta zaciśnięte. Zdradziły ją jednak oczy. Te cudowne, brązowe oczy.

J. D. czuł, że znów ma siedemnaście lat. Był jak Mickey Rooney biegnący na spotkanie Judy Garland tuż przed finałową sceną, kończącą się długim, namiętym pocałunkiem. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, ręce miał spocone, krew w żyłach wrzała.

Zatrzymał się i postawił nogę na najniższym stopniu.

Pochylił się do przodu, wsparł łokieć na kolanie. Chciał się opanować.

– Cześć, Długa. Co słychać? – zagadnął z niewinnym uśmiechem.

Maggie obronnym gestem splotła ręce na brzuchu. J. D. ani myślał zmieniać swego planu.

– Aż tak się cieszysz, że mnie widzisz?

Maggie zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok. Patrzyła teraz na zatokę. J. D. szybko wbiegł po schodkach i stanął obok niej.

– Przyniosłem ci coś.

Kiedy na niego spojrzała, podał jej paczuszkę, którą do tej pory trzymał za plecami.

Ze źle ukrywaną ciekawością wzięła od niego zawiniątko, obejrzała je i skrzywiła się.

– Ryby?

– Jesteś nie tylko piękna, ale i inteligentna. Lubię takie kobiety.

Maggie znów spojrzała na paczkę z filetami, potem na niego.

– Przyniosłeś mi ryby.

Było to raczej pełne zdziwienia stwierdzenie niż pytanie.

– Przepraszam cię, ale nie mogłem znaleźć żadnych kwiatów – rzekł ze szczerym uśmiechem.

– Mogłam się tego spodziewać po człowieku, który uważa taśmę samoprzylepną za artykuł pierwszej potrzeby.

– A więc masz też poczucie humoru. To także mi się w kobietach podoba.

Jeszcze bardziej podobała mu się zakamuflowana informacja, że jednak czegoś się spodziewała. Wierzyła, że wróci. To dobry znak.

– Gdybyśmy byli nieco bliżej cywilizacji, zaprosiłbym cię na kolację do jakiejś eleganckiej restauracji. Ponieważ to niemożliwe, uznałem, że trzeba ci coś przywieźć.

– Nie przypominam sobie, byś mnie pytał, czy chcę pójść z tobą na kolację.

– Chyba masz rację – przyznał z uśmiechem, na który omal nie odpowiedziała. – Ale pomyślałem sobie, że jeśli okaże się, iż nie lubisz restauracji, to darmowym posiłkiem nie pogardzisz.

Maggie nie dawała się zbić z tropu.

– A jeśli powiem, że nie jestem głodna?

– Nie szkodzi. Ja mogę jeść zawsze.

– Nie pytasz nawet, czy umiem gotować. J. D. uśmiechnął się szeroko.

– Nie pytam, bo wcale tego nie proponuję. Zresztą jeśli chodzi o smażenie ryb, jestem w tym mistrzem.

Maggie westchnęła z wyraźną rezygnacją.

– Każdym słowem potwierdzasz moją opinię o tobie.

– Że jestem wspaniały?

– Że jesteś największym zarozumialcem, jakiego znam.

– Zarozumialcem? – J. D. udawał urażonego. – To trochę za ostro powiedziane. Może powinnaś stwierdzić, że jestem kimś niezbyt skromnym.

– Raczej nieznośnym.

– Wytrzymałym.

– Natrętnym.

J. D. znakomicie się bawił. Był pewien, że i Maggie, gdyby się tylko trochę rozluźniła, też by się do tego przyznała.

– Zdecydowanym – oznajmił w końcu. – Jestem bardzo zdecydowanym człowiekiem, moja Maggie.

– Nie jestem twoją Maggie.

Wiedział, że posunął się trochę za daleko, ale ani myślał się wycofywać.

– Jeszcze nie, rzeczywiście. Ale będziesz – obiecał, obrzucając ją znaczącym spojrzeniem. – Tylko powiedz słowo.

To zamknęło jej usta. W jej oczach znowu jednak pojawił się ten dobrze mu już znany smutek i strach. Miała już wyraźnie dość tej rozmowy. Bała się jej.

– A więc nie umiesz gotować – rzekł, zmieniając taktykę. – Nie ma sprawy. Patrz i ucz się.

Wziął od niej ryby i wszedł do domku.

– Ależ proszę, czuj się jak u siebie w domu.

– Oczywiście – odparł, ignorując wyraźną w jej głosie ironię.

Poszedł prosto do kuchni i zaczął szukać patelni.

W końcu, niewielkim podstępem, udało mu się wciągnąć Maggie we wspólne przygotowanie posiłku. Przyrządziła sałatę, a on usmażył ryby i ugotował ziemniaki, marchewkę i cebulę.

Kilka przypadkowych dotknięć przy zlewie i kuchence, smakowity aromat gotującego się jedzenia oraz nieustanne żarty J. D. rozluźniły ją nieco.

Z początku na jego wesołe opowieści o tutejszych ludziach i przygodach związanych z uprawianym zawodem reagowała tylko cichym „mhm”. Później zaczęła je nawet komentować. Mówiła „chyba zmyślasz, Hazzard” albo „to niemożliwe”. Zdobyła się nawet na kilka uśmiechów, z których prawdopodobnie nawet nie zdawała sobie sprawy.

J. D. zaczynał nabierać otuchy.

– No i jak? – spytał niecierpliwie, kiedy Maggie, po przełknięciu kęsa ryby, odłożyła widelec na talerz.

– Moim zdaniem – zaczęła i zamilkła, wydając króciutkie, pełne zadowolenia

westchnienie – mógłbyś być szefem kuchni w najlepszej nawet restauracji.

– Aż tak ci smakuje? – rozpromienił się J. D.

– Aż tak. Właściwie to wręcz za bardzo. Będę musiała przez tydzień się odchudzać.

– Nie jestem taki pewien. O ile dobrze widzę, kilka dodatkowych kilogramów nie mogłoby ci zaszkodzić.

Maggie nauczyła się już ignorować jego aluzje.

– To chyba i tak będzie bez znaczenia – powiedziała. – Wypadłam na tak długo z obiegu i wycofałam się z kilku realizowanych już kontraktów, więc może i tak nikt mnie nie będzie chciał zatrudnić, kiedy będę gotowa wrócić do pracy. Jeżeli w ogóle zdecyduję się dalej pracować – dodała w zamyśleniu, spoglądając na zatokę.

– O ile dobrze się orientuję w twojej karierze, to wydaje mi się, że jeśli nie zechcesz, wcale nie będziesz musiała pracować.

Maggie skinęła głową.

– Jeśli chodzi o stronę finansową, to rzeczywiście. Ale czy emerytura w moim wieku nie wydaje ci się przedwczesna?

– Zgadza się – przyznał. – Gdybyś postanowiła nie wracać do zawodu modelki, to czym chciałabyś się zająć?

– Mogłabym spróbować swych sił po drugiej stronie kamery.

Jasne było, że długo i poważnie się nad tym zastanawiała.

– Naprawdę? Mówią, że w każdym aktorze ukryty jest reżyser. Może to samo dotyczy modelek.

Maggie wzruszyła ramionami.

– Może.

Pogrążyła się w rozmyślaniach i milczała już do końca posiłku, mimo że J. D. bardzo się starał jakoś ją zabawić.

Później namówił ją na wspólne sprzątanie. On zmywał, ona wycierała naczynia. Przy tym zwyczajnym, domowym zajęciu znów zaczęła się rozluźniać.

Nie wszystko naraz, Hazzard, musiał sobie nakazać J. D. Pocałował ją krótko na pożegnanie, wziął Hersheya i odleciał swoją cessną.

Ani myślał rezygnować ze swego planu.

Wprowadzał go w życie stopniowo i jakby mimochodem. Po prostu się u niej zjawiał, a ona go nie wyrzucała. Jak mógłby tego nie wykorzystać?

Przez następne dwa tygodnie nie było dnia, żeby nie wpadł, by podrzucić jej jakąś rybę, sprawdzić, co porabia, czy trochę z nią pożartować.

Nie dopytywał się o szczegóły z jej życia. Mówił o różnych rzeczach i śmiał się, dając jej czas, by przywykła do jego towarzystwa. Unikał jakiegokolwiek wzmianki o kłusownikach, nie sugerował też więcej, że jej przyjaciel Abel Greene może mieć z tym coś wspólnego.

Skoncentrował się wyłącznie na niej. Starał się, by go lepiej poznała i polubiła i, co więcej, przyzwyczaiła się do jego obecności. Chodzili razem na długie spacery, czasem nawet razem biegali. Za pomocą swej nieodłącznej taśmy samoprzylepnej naprawił ciekącą rurę kanalizacyjną, któregoś dnia wspólnie wykopali w jeziorze oburzonego tym Hersheya, a



pewnego popołudnia zamiast ryb przywiózł jej kwiaty, które razem zasadzili na klombie przed jej domkiem.

Tego wieczora, po dwóch tygodniach od dnia kiedy ujrzał ją na pomoście, uznał, że jego ostrożna taktyka była rozsądną decyzją. Siedzieli przy ognisku, które J. D. rozpałił na brzegu. Maggie z uśmiechem patrzyła, jak Hershey poluje na robaczki świętojańskie. Po raz pierwszy nie przypomniała swemu gościowi, że robi się późno i pora, by wracał do bazy.

Obudziło to w nim wielką nadzieję. Pogłębiały ją jeszcze czułe spojrzenia, które rzucała w jego stronę, kiedy myślała, że na nią nie patrzy.

Jezioro, poruszone leciutką bryzą, szumiało cicho. Z daleka dobiegały krzyki mew. W lesie pohukiwały sowy.

J. D. zauważył wyraźną zmianę jej nastroju. Pomyślał, że zaczyna czuć się bezpiecznie.

– Czy ty jesteś prawdziwy, Hazzard? – spytała nagle cichutko, nie patrząc w jego stronę.

J. D. nawet nie próbował udawać, że nie rozumie. Wiedział, że prosi, by jej nie zranił, kiedy w końcu postanowi mu się poddać.

Jego odpowiedź była pewna i zdecydowana.

– Jak najbardziej, Długa.

Maggie westchnęła głęboko i spojrzała na niego. Tak bardzo chciała mu wierzyć.

– Nie wiem, co czy kto sprawił, że tak ci trudno mi zaufać – rzekł ostrożnie. – Może kiedyś sama zechcesz mi o tym powiedzieć.

W jej oczach na moment pojawił się ten znany mu strach i ból. Szybko odwróciła wzrok.

– Nie wiem, co się stało – powtórzył – i w tej chwili wcale mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że bardzo mi na tobie zależy. Chcę być z tobą, Maggie. – Wstał i stanął przed nią. – Chcę z tobą rozmawiać i śmiać się. Ale najbardziej ze wszystkiego chcę się teraz z tobą kochać.

Maggie zamknęła oczy.

Zapanowało trudne do zniesienia, pełne oczekiwania milczenie. Patrząc na jej twarz, J. D. przeraził się. Czyżby tym jednym zdaniem zepsuł to wszystko, co z takim mozółem budował przez całe dwa tygodnie?

– Zapomniałaś tekstu swojej roli – rzekł cicho. Ukłąkł przed nią i ujął jej dłonie. – W tym miejscu powinnaś powiedzieć: „Ja też chcę się z tobą kochać”.

Starał się nadać temu formę zabawy. Próbował potraktować lekko coś, co stało się dla niego ważniejsze niż własne życie. Ale on też niezbyt umiał panować nad swymi uczuciami. Wiedział, że kiedy Maggie spojrzy mu w oczy, zrozumie, że on także jest zdenerwowany i przejęty.

Kiedy w końcu przemówiła, w jej głosie brzmiało wahanie i żal.

– Muszę być z tobą szczerą, Hazzard. Nie jestem zdolna do trwałego, dłuższego związku.

Serce mu zamarło. Czuł, że Maggie rzeczywiście jest o rym przekonana. Po chwili jednak dostrzegł i drugi aspekt tego wyznania. Powiedziała mu przecież, że chciałaby...

Musnął ręką jej rozświetlone światłem księżycy jedwabiste włosy.

– Więc może nie będziemy niczego planować? Co ty na to, żebyśmy posuwali się wolniutko, krok po kroku? Może na końcu tej podróży czeka nas oboje przyjemna

niespodzianka?

Maggie z trudem przełknęła ślinę.

– Albo wielkie rozczarowanie.

– Możliwe – odrzekł i pogładził delikatnie kciukiem wewnątrz jej dłoni. – Może to jednak być najlepsza rzecz, jaka się nam w życiu zdarzyła. Jest tylko jeden problem – dodał, czując jej wahanie. – Jeśli nie spróbujemy, nigdy się nie dowiemy.

– A jeśli nic z tego nie wyjdzie? Co wtedy? Próbowała zamaskować swój niepokój. Na próżno.

A J. D. zastanawiał się, czemu Maggie już na samym początku ich znajomości myśli o tym, co będzie, jak się ona skończy. Nie była to dobra, zachęcająca wróżba. Patrząc jednak na jej twarz uświadomił sobie, jak ważna jest dla niej jego odpowiedź.

– Wtedy – rzekł spokojnie, modląc się, by nigdy nie musieli stanąć przed tym problemem – powiemy sobie, że było miło, ale nam nie wyszło, i rozstaniemy się jak przyjaciele.

Ulga, jaką ujrzał na jej twarzy, powiedziała mu, że to właśnie chciała usłyszeć. Obietnica, jaką od niego wyciągnęła, sprawiła, że jeszcze bardziej chciał się dowiedzieć, dlaczego tak jej na tym zależy.

– Obiecuj mi – powiedziała, ściskając go mocno za rękę. – Obiecuj mi dokładnie to. Kiedy wszystko się między nami skończy, po prostu się rozstaniemy. Bez żalu. Bez nadziei. Bez rozdrapywania ran.

– Jeśli się rozstaniemy – poprawił ją. – Obiecuję. Nasze rozstanie będzie ładne.

Choć niezbyt podobała mu się ta cała rozmowa, poczuł ulgę, kiedy na jej ustach pojawił się lekki, nieśmiały uśmiech.

Odwzajemnił go. Patrząc w jej błyszczące oczy, jeszcze bardziej był pewien, że nigdy nie spełni tej obietnicy. Nie da jej najmniejszego powodu do rozstania. Zrobi wszystko, by zechciała z nim być do końca.

– A więc umowa stoi, Maggie? – spytał cicho. Maggie na moment spuściła wzrok, potem spojrzała mu w oczy i skinęła głową.

– Dobrze – rzekł i leciutko ścisnął jej rękę. – A teraz... czy to znaczy, że w końcu zobaczę cię naga?

To skandaliczne pytanie rozświetliło nowym światłem jej oczy. Do tej pory, przez całe dwa tygodnie, bardzo z nim walczyła. Teraz już nie chciała. Potrząsnęła głową i obdarzyła go uśmiechem, na który tak długo czekał.

– Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że subtelność nie jest twoją największą zaletą?

– Nigdy – odparł wesoło. – A jeśli ta zachęta niezbyt przypadła ci do gustu, mam w zanadrzu drugą.

– Nie mogę się doczekać.

Pomógł jej wstać i wziął ją w ramiona. Księżyc mrugał zachęcająco, woda pluskała wesoło.

– Chodź ze mną, Maggie – szepnął, muskając wargami jej włosy. – Chodź ze mną do domku. Chodźmy razem do twego łóżka.

Słyszał bicie jej serca, mocniejsze chyba niż jego. Czuł, jak pod pieścotami jego dłoni

drży jej ciało.

– Pozwól, bym cię rozebrał i dotykał... ustami... rękami – szeptał, całując delikatnie jej szyję. – Pozwól, bym cię kochał, Maggie... tak, jak tylko będziesz chciała... Nie będziemy się spieszyć.

Uniósł głowę i zajrzał w jej pełne namiętności oczy.

– A kiedy będzie już po wszystkim – szeptał, muskając wargami jej usta – pozwól mi zacząć jeszcze raz.

Maggie patrzyła w oczy tego mężczyzny, który wzbudził jej nadzieję i pożądanie. Zapomniała o całej swej ostrożności. Wiedziała, że popełnia błąd, domyślała się, że jego dobre intencje mogą zniknąć w każdej chwili, lecz tak bardzo chciała mu uwierzyć. Choćby tylko tej nocy.

Przez ostatnie dwa tygodnie był taki delikatny. Taki cierpliwy. Już przed tygodniem zabrakło jej argumentów. Nie była w stanie mu się oprzeć. Tyle jej obiecywał. I kiedy wziął ją teraz w ramiona, zwyciężył. Jego pełne obietnic spojrzenie, jego pieszczoty poruszyły jej serce jak nic dotąd.

Wiedziała, że to niemądre. Była pewna, że jeszcze nie jest za późno, by się wycofać. Może nawet udałoby się jej przekonać go, że wcale jej nie pragnie. Tak, jego może by przekonała, ale co z nią? Tak dobrze się przy nim czuła. Podobało się jej, że niczego przed nią nie ukrywa. Miała w swym życiu dość gierki, udawania, wykorzystywania i pogardy.

Wiedziała, że w związku z J. D. Hazzardem tego nie dozna. Będzie jej z tym mężczyzną dobrze, bezpiecznie, wesoło, bo taki jest właśnie ten człowiek. Czuła też w nim jakąś głęboką dobroć i wiedziała, że nigdy jej nie wykorzysta.

– Chcę ci ufać – szepnęła, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos.

– To zaufaj – odparł, przyciągając ją mocno do siebie.

– Popatrz na mnie i zrozumiesz, że możesz to zrobić.

Zrobiła, o co prosił. Spojrzała na niego. Zapomniała o tamtym drugim mężczyźnie i jego czczych obietnicach. Zbyt długo była za słaba, by przeciwstawić się jego dominacji. Pozwalała mu się wykorzystywać i obrażać – wszystko w imię miłości. W imię jego miłości do władzy i jej pieniędzy.

Władza i pieniądze nie obchodzą J. D. On wierzy tylko w siłę miłości.

Jest zupełnie inny niż Rolfe. Jego motywy są uczciwe. Pożądanie w jego oczach też. Chce jej, a nie jej pieniędzy.

– Wierzę ci – szepnęła i mocno się do niego przytuliła.

– W tej chwili w nic tak nie wierzę, jak w to.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na sosnowych ścianach sypialni tańczyły cienie. Pachniało lasem i ciepłym nocnym powietrzem Minnesoty.

– Ty drzysz – szepnął, prowadząc ją do łóżka. – Chcesz, żebym zamknął okno?

Maggie potrząsnęła głową.

– Nie jest mi zimno.

– Jesteś zdenerwowana? – spytał, gładząc ją po włosach.

Maggie spuściła głowę.

– Hej. – J. D. ujął ją pod brodę i spojrzał jej w oczy. – Nie myśl, że tylko ty masz cykora.

– Mam ci uwierzyć? – spytała ze smutnym uśmiechem.

– Ja tylko nadrabiam miną. Nie zapominaj, kim jesteś. Jeśli myślisz, że nie boję się cię rozczarować, to nie masz pojęcia, jak mi na tobie zależy.

W jej oczach błysnął gniew i rozczarowanie. Odwróciła się od niego i spojrzała w okno.

J. D. zupełnie nie rozumiał jej reakcji.

– Co się stało? Co ja takiego powiedziałem?

– Co to ma za znaczenie, kim jestem? Dlaczego ci to przeszkadza? – spytała ostro.

Wydawało się jej, że dobrze zna odpowiedź.

Mógł się tego domyślać. Powinien wiedzieć, że przez minione kilka lat stale musiała panować nad swymi uczuciami i bronić się przed tym okrutnym, sztucznym światem, w którym żyła.

– Wiem, że nie było ci łatwo – rzekł cicho, obejmując ją za ramiona. – Faceci uganiaли się za gwiazdą, tak? Chcieli wszystkiego, nie dając nic w zamian? Zdobywając ciebie, chcieli przydać sobie wartości, prawda?

Jej ciało zeszytywniało, potwierdzając jego podejrzenia. Obrócił ją delikatnie ku sobie.

– Obawiam się, że czegoś tu nie zauważyłaś, Długa. Nie ma tu nikogo, oprócz ciebie i mnie. A ja chcę cię tylko taką, jaką jesteś.

Tak – mówił dalej, bo w jej oczach pojawiły się gniewne ogniki. – Taką, jaką jesteś. Maggie Adams, tą samą dziewczyną z tymi samymi zaletami, które już piętnaście lat temu tak mnie urzekły. Już wtedy miałaś nade mną ogromną władzę. W tej sprawie nic się nie zmieniło. Zapominasz także, że zacząłem cię pragnąć jeszcze wtedy, zanim świat poznał twoją twarz i nazwisko. Nadal cię pragnę – szepnął, zdając sobie sprawę, jak niepewnie brzmi jego głos. – Pragnąłbym cię nawet wówczas, gdybyś pracowała na przykład na stacji benzynowej. Twoja sława jest dla mnie bez znaczenia.

Ujął jej twarz w dłonie i patrząc jej w oczy, szeptał dalej:

– Pragnę cię jako kobiety – po prostu kobiety. Zawsze tak było i mam nadzieję, że zawsze tak będzie. I cholernie się boję, że teraz, kiedy już zaczęłaś mi ufać, zawiodę cię.

W jej spojrzeniu pojawiła się wyraźna ulga, ale i wyrzuty sumienia.

– Przepraszam cię – szepnęła, muskając palcami jego policzek.

J. D. przechylił głowę i pocałował wewnątrz jej dłoni.

– Nie ma za co.

– Jest za co. Byłam wobec ciebie niesprawiedliwa. Jesteś zupełnie inny niż on. Choćbyś się nie wiem jak starał, nigdy taki nie będziesz.

J. D. nie wiedział, kim jest ten „on” o którym wspomniała. Nie był nawet pewien, czy Maggie zdaje sobie sprawę, że mówi na głos. I choć myśli, że ktokolwiek mógł ją źle traktować, doprowadzała go do szału, w tej chwili nie chciał o tym wiedzieć. Nie chciał myśleć o jakimkolwiek innym mężczyźnie w jej życiu. Nie chciał też, żeby myślała o nim Maggie.

Wziął ją delikatnie w ramiona i przytulił do siebie. Ucieszył się, kiedy pełnym zaufania gestem położyła mu głowę na ramieniu.

Pocałował czubek jej głowy i oparł o niego policzek.

– Tak dobrze – szepnął, ledwo już panując nad sobą.

– Mhm – przyznała z cichym, pełnym zadowolenia westchnieniem. – Znam jednak coś lepszego.

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, w każdym razie na pewno zgubiło rytm.

– Lepszego? – wyjąkał z trudem.

Maggie uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Pokaż mi swoje ciało, Hazzard. Dawniej nie byłeś taki powściągliwy.

– Do usług szanownej pani – odparł z uśmiechem. Ręce mu drżały, kiedy odsunął się odrobinę i ściągnął koszulę. Jęknął, kiedy jej oczy spoczęły na jego nagiej piersi. Chwilę potem znalazły się tam jej dłonie.

Jej palce były długie, szczupłe i niesamowicie zmysłowe. Tańczyły leciutko po jego ciele, a potem zajęły się zapęciem jego dżinsów.

– Ej – mruknął i mocno przytrzymał jej dłonie. – Ty... my... ja...

– Mam zwolnić? – spytała zalotnie, mimo bólu, jaki nieświadomie jej sprawiał.

– Tak – jęknął. – Musimy zwolnić, bo inaczej jedno z nas skończy, zanim drugie w ogóle zacznie.

– Mnie to nie przeszkadza – przyznała cichutko.

To całkiem pozbawione egoizmu stwierdzenie zupełnie go rozbroiło. Kilka słów, które powiedziała, sprawiło, że J. D. Hazzard uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha. Już wcześniej wiedział, na co się zanosi. Nie zdawał sobie tylko jeszcze sprawy, jak bardzo jest jej oddany.

– Ale mnie tak – rzekł, odzyskując panowanie nad swym pożądaniem. – Matka od małego uczyła mnie, bym ustępował damom, Długa.

– Wątpię, czy twoja matka akurat kochanie się miała na myśli – powiedziała z uśmiechem Maggie, odpinając pierwszy guzik swej bluzki.

– A ja wątpię, czy akurat teraz powinniśmy o niej rozmawiać. Czy w ogóle powinniśmy teraz o czymkolwiek rozmawiać.

– Wątpisz?

– Jestem pewien – szepnął i zaniemówił na moment, kiedy sięgnęła za plecy, odpięła stanik i zrzuciła go na ziemię. – Maggie...

J. D. patrzył z zachwytem na leżącą obok niego nagą Maggie. Na jej smukłe ciało oświetlone blaskiem księżyca.

– Ze mną jesteś bezpieczna – szepnął, poruszony jej zaufaniem i oddaniem. – Nigdy cię nie skrzywdzę, Maggie. Pamiętaj o tym.

– Wiem. I chcę, żebyś ty czuł to samo.

– Taką sobie właśnie siebie wyobrażałem – szepnął, nachylając się nad nią. Objął dłonią jej pierś i musnął palcem sutkę. – Od tak dawna.

Jęknęła z zadowoleniem, kiedy w chwilę potem jego usta spoczęły na jej piersi, i zanurzyła palce w jego włosach. Poddawała się badaniu jego języka, warg i dłoni. A kiedy poznał już całe jej ciało, otoczyła go swymi długimi, cudownymi nogami i przyciągnęła mocno do siebie.

– Hazzard.

J. D. uniósł głowę i spojrzał w jej ciemne, błyszczące pożądaniem oczy.

– Mamy przed sobą całą noc, Maggie. Nie musimy się spieszyć.

By jej to udowodnić, musnął kciukiem jej rozchylone wargi, ale ona natychmiast wciągnęła delikatnie do ust cały palec. Pieściła go językiem w tym samym rytmie, w jakim poruszały się jej biodra.

– Ale właściwie – mruknął, kiedy przewróciła się na plecy i pociągnęła go na siebie, robiąc mu miejsce między udami – to mogę się mylić.

Zanurzył twarz w zagłębieniu jej szyi i zeszywniał, kiedy kołysała go w objęciu swych ud.

– Zmiłuj się, Maggie. Nie chciałem się spieszyć. Dla ciebie.

– Może później – szepnęła ponaglająco. Sięgnęła ręką pomiędzy nich po jego twarde, gorącą, pulsującą męskość i skierowała ją tam, gdzie powinna być. – Teraz... po prostu zrób to.

Posłuchał jej aż nadto chętnie. Chciał, by nic już ich nie dzieliło. Poczucie odpowiedzialności było jednak silniejsze.

Nie potrafił oderwać się choć na moment od jej wspaniałego ciała. Objął ją w pasie ramieniem i podciągnął wraz ze sobą na skraj łóżka. Wyciągnął rękę i macając niecierpliwie po podłodze, szukał swych dzinsów. Znalazł je w końcu i wyciągnął z kieszonki maleńką paczuszkę. Z trudem panując nad swym pożądaniem, drżał tak bardzo, że Maggie uśmiechnęła się wyrozumiale i wyjęła mu paczuszkę z ręki.

– Zapłacisz mi za to – obiecał, ciągnąc ją z powrotem na środek łóżka. Jęknął, kiedy włożyła prezerwatywę na właściwe miejsce. – Drogo mi za to zapłacisz.

– O ile dobrze pamiętam, już kiedyś mi tym groziłeś.

– Kiedy już przestanę choć trochę wariować na twoim punkcie, spełnię tę groźbę co do joty – jęknął, kiedy przywarła do niego swą wilgotną, gorącą kobiecością. – Wtedy będziesz błagać o... litość.

Objęła go za szyję i przycisnęła wargi do jego ust.

– Niech ci będzie, Hazzard. Tylko błagam... powiedz to później.

Nawet gdyby od tego miało zależeć jego życie, i tak nie byłby w stanie powiedzieć już

ani słowa więcej. Stracił zdolność myślenia. Wiedział tylko jedno – że pragnie Maggie. Teraz, natychmiast.

Otoczył ramionami jej głowę, wsunął palce w jedwabiste włosy i nareszcie w nią wszedł. Gorąca, wilgotna i słodka przyjęła go całą sobą.

Objęła nogami jego biodra i zamknęła w uścisku, a on poddał się całkowicie jej ciału. Chciał w nim utonąć na zawsze. Nie musiał, nie chciał już nad niczym panować. Byli jednym... aż do cudownego, wspólnego końca.

Maggie przesunęła leniwie dłońmi po wilgotnych, silnych plecach J. D. Czuła na sobie jego słodki ciężar, słyszała jego ciężki oddech i oszalałe bicie serca.

– Jednego możesz być pewna, Długa – szepnął. – Że choć to twoja wina, była to moja pierwsza i ostatnia obietnica, jakiej nie dotrzymałem.

– A czy ja się skarżę? – spytała z błogim uśmiechem. Z wielkim wysiłkiem J. D. uniósł się na łokciach i spojrzał na nią swymi niesamowitymi, zamglonymi teraz oczami.

– Ale przecież obiecywałem ci dużo więcej – powiedział z żalem.

– Sam przecież mówiłeś, że mamy całą noc – odparła, odgarniając mu włosy z czoła.

Jęknąwszy z zadowoleniem, J. D. przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Nawet bardzo. Wręcz cudownie. A ty... – przerwała, czując na brzuchu jego znów twardniejącą męskość – a ty zaskakująco szybko odzyskujesz siły.

J. D. uśmiechnął się słodko i uwodzicielsko.

– Przecież obiecałem, że ci wszystko wynagrodzę. Potraktuj to jako pierwszą ratę. Zobaczysz, że warto było czekać.

Reakcja jej ciała na tę obietnicę była natychmiastowa. Zagryzła wargi, by nie krzyknąć, kiedy jego dłonie zsunęły się po jej plecach, na moment objęły pośladki, potem powędrowały niżej. Patrząc w jej twarz, czytał w niej jak w otwartej księdze.

– Otwórz się, Maggie – szepnął, rozchylając jej uda.

– Zobacz, jak cię uwielbiam.

Przełknęła z trudem ślinę i poddała mu się. Rozłożyła szeroko nogi i usiadła na nim okrakiem.

– Pokaż mi, jaka jesteś piękna.

Jego oczy i ręce badały, pieściły jej ciało, zachwycały się nim. Wiedziała jednak, że powoduje nim czułość i pragnienie sprawienia jej przyjemności.

– Jesteś taka cudowna. Taka wyjątkowa, moja Maggie – szepnął, odgarniając splątane, wilgotne włosy z jej twarzy. – Powiedz mi, jak mam cię dotykać. Powiedz mi, co lubisz.

– Wszystko – odparła ochryple. – Wszystko, co chcesz robić – wyznała bezwstydnie i zamknęła oczy. Kołysała się nad nim i udawała mu ruchami swego ciała, gestami, westchnieniami, iż chce tylko tego, by był pod nią i w niej. Że tylko wtedy żyje pełnią życia.

Kiedy ujął wargami jej sutkę, wygięła się w łuk.

– Jesteś znów wilgotna, moja miła? – spytał i dotknął najwrażliwszego punktu ciała Maggie. – Wspaniała kobieto – jęknął wyraźnie zadowolony. Wsunął w nią palec i pieścił to

jedno, najważniejsze, najśladzkie miejsce.

– Taaak. Teraz. Tutaj – szeptał.

Odpowiedziały mu tylko jej pełne rozkoszy jęki. I na koniec ten jeden – długi, przeciągły. Jeszcze długo w noc wypełniał J. D. złożone jej wcześniej obietnice.

– Śpisz?

Maggie zanurzyła twarz głębiej w poduszkę i jęknęła z zadowoleniem, kiedy jego silna, ciepła dłoń zaczęła gładzić jej nagie plecy. Potem tym samym zajęły się jego wargi.

– Obudź się, Długa. Chcę ci coś pokazać.

Maggie otworzyła jedno oko, stwierdziła, że jest środek nocy, i naciągnęła na głowę prześcieradło.

– Czy to coś nie może poczekać do rana? – spytała.

– Nie tym razem. Chodź. Będziesz żałować, jeśli tego nie zobaczysz.

Zrezygnowana, obróciła się na plecy, by móc spojrzeć na J. D. Gdyby w ostatniej chwili nie chwycił jej za ramię i nie przytrzymał, pewnie spadłaby z łóżka.

– Czy ktoś ci kiedyś mówił, że strasznie się podczas snu rozpychasz? – spytała z uśmiechem, kiedy przesunął się i zrobił jej więcej miejsca.

– Ostatnio nie – odparł szczerze.

Te dwa słowa sprawiły jej większą przyjemność, niż gotowa się była do tego przyznać.

– A dokładnie: od bardzo dawna – sprecyzował, oplatając ją swymi silnymi, owłosionymi nogami. – A jak z tobą? Czy mówił ci ktoś, że ty z kolei przez cały czas śpisz na samiućkim brzegu łóżka?

Spojrzała na niego, wiedząc, że zasługuje na odpowiedź. I to szczerą.

– Tylko jeden mężczyzna. I też było to bardzo dawno temu.

Przed ponad rokiem, obliczyła szybko. Choć od dnia, kiedy opuściła swe wspólne z Rolfe'em mieszkanie, minęło sześć miesięcy, to już dużo wcześniej przestała z nim sypiać.

Nie chciała teraz o nim myśleć. Odpędziła nieprzyjemne wspomnienia i skupiła się na J. D.

Był taki piękny, kiedy patrzył na nią i uśmiechał się ciepło i czule. Maggie uniosła się nieco i musnęła wargami jego usta.

– Co takiego chciałeś mi pokazać?

Jej ręka na moment spoczęła na jego piersi, potem zsunęła się niżej.

J. D. parsknął śmiechem, odnalazł jej wędrującą dłoń i ścisnął karcąco.

– Coś, czego jeszcze dziś w nocy nie widziałas. Coś, co zapamiętasz na zawsze.

– To zawsze będę pamiętać – odparła z figlarnym uśmiechem.

J. D. pocałował ją szybko i wstał z łóżka. Podał jej rękę i pociągnął za sobą.

– Włóż szlafrok i jakieś pantofle.

– Co takiego? Po co?

– Żadnych pytań – uciął, wkładając dzinsy i tenisówki. – Pospiesz się, bo będzie za późno – dodał, wciągając bluzę.

– Mam nadzieję, że to coś rzeczywiście ciekawego – mruknęła, owijając się szlafrokiem.



– Myślałem, że postanowiłaś już mi zaufać – poskarżył się, przyciągając ją do siebie.

– To było wówczas, zanim zauważyłam, że jesteś zupełnie obłąkany. Czy normalny człowiek wyciąga kobietę z łóżka o... drugiej w nocy? – skomentowała, spoglądając na jego zegarek. – Naprawdę chcesz, żebym wyszła na dwór?

– Przestań się nad sobą uzalać.

Maggie ziewnęła i zawróciła w stronę łóżka. J. D. w porę chwycił ją za rękę.

– Chodź. Obiecuję, że nie będziesz żałować. A znasz mój stosunek do obietnic.

Kiedy mijali leżącego na kanapie Hersheya, ten tylko uniósł łeb. Najwyraźniej nie miał ochoty na żadne nocne wycieczki.

– Zazdroścę ci, Hersh.

– Nie wygłupiaj się – skarcił ją J. D. i nie pozwolił położyć się obok psa.

Chwycił ją mocno pod ramię i poprowadził ku drzwiom.

Wyszli na ganek. Powitał ich lekki, nocny powiew i jakieś niezziemskie, opalizujące wszystkimi barwami tęczy światło.

– Co to takiego? – krzyknęła nagle rozbudzona Maggie i próbowała się cofnąć.

– Oto, moja droga – rzekł, ciągnąc ją za sobą J. D. – jest prawdziwy cud natury. To właśnie chciałem ci pokazać. Zorza polarna w całej okazałości – dodał, kiedy stanęli na otwartej przestrzeni i spojrzeli z zachwytem w niebo.

– Zorza – powtórzyła oczarowana Maggie.

– Nie żałujesz już, że cię obudziłem? – spytał, kładąc jej rękę na ramieniu.

Zupełnie zauroczona przyglądała się przecinającej granatowe niebo pionowej, pulsującej kolorami tęczy.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Nawet nie podejrzewałam, że to może być takie piękne. Zresztą myślałam, że zorza polarna pojawia się tylko zimą.

– Rzeczywiście zimą częściej, ale tutaj czasami także latem. Chodź, zejdziemy na pomost. Stamtąd będzie lepiej widać.

J. D. nie był pewien, co bardziej go zachwyca – zorza czy zafascynowana nią Maggie.

– Skąd się to bierze? – spytała.

– Czy to ważne? – odparł cicho. – Prawdziwy romantyk się nad tym nie zastanawia. On po prostu się cieszy.

– A ty jesteś prawdziwym romantykiem, prawda, J. D. ? Smutek w jej głosie sprawił mu ból. Ktoś pozbawił ją wiary w uczucia prawdziwie romantyczne.

– Niepoprawnym romantykiem – przyznał. – Płaczę na starych filmach z Carym Grantem. Przy świetle księżycy robię się miękki jak wosk.

– A przy zorzy polarnej?

– Przy zorzy polarnej zaczynam wierzyć, że mam aż nadto powodów, by wierzyć w romantyczne uczucia.

Patrzył w jej oczy i zastanawiał się, czy i ona kiedyś zacznie w to wierzyć. Czy otworzy się przed nim. Tak, przyjdzie taki dzień. Musi przyjść. Na pewno. Ale jeszcze nie teraz.

– Masz rację – powiedziała, znów spoglądając w niebo.

– Czymś tak cudownym po prostu trzeba się cieszyć. Dziękuję ci, J. D., że mi to

pokazałeś.

– To ty jesteś cudowna – szepnął, biorąc ją w ramiona.

– I dziękuję ci, że wróciłaś nad jezioro, bym mógł tym się z tobą dzielić. Bardzo się cieszę, że w końcu cię odnalazłem, Długa.

– Ja też.

Wtedy ją pocałował. Na pomoście, w świetle zorzy polarnej.

– Chodźmy – rzekł później. – Wracajmy do łóżka. Maggie nie ruszała się z miejsca. Patrzyła na niego, a w jej oczach tańczyły iskierki.

– Tutaj?

– Tutaj – potwierdziła. Wspięła się na palce, pocałowała go, a potem ujęła brzeg jego bluzy. – Teraz.

Maggie przyglądała się śpiącemu obok niej mężczyźnie.

Poczuła lęk, że znowu się zakocha.

Właściwie powinna bać się dużo bardziej. Coraz trudniej jej jednak było przypominać samej sobie, że nie powinna do tego dopuścić. Przecież życie nauczyło ją, że miłość to tylko złudzenie. Trwała miłość w każdym razie. Między mężczyzną a kobietą. Już dawno postanowiła sobie, że więcej nie wpadnie w tę pułapkę.

A jednak kiedy tak patrzyła na swego śpiącego kochanka, czuła, jak słabnie jej wola. J. D. Hazzard zupełnie nie przejmował się jej postanowieniami. A teraz ona sama gotowa była o nich zapomnieć.

– Jak do tego doszło? – mruknęła, wpatrując się w sufit, jakby tam właśnie szukała odpowiedzi.

Zamiast odpowiedzi znalazła wspomnienia. Wspomnienia, które uświadomiły jej, dlaczego nie może sobie pozwolić na to uczucie.

Nikt nawet nie podejrzewał, jakim pasmem kłamstw było jej życie z Rolfe'em Sebastianem. Nikt nie wiedział, że była jego więźniem.

Miała siedemnaście lat, kiedy przeprowadziła się do Nowego Jorku. Pełna nadziei, lecz bez perspektyw, pracowała w różnych restauracjach i marzyła, by zostać aktorką.

Wtedy właśnie w jej życiu pojawił się Rolfe Sebastian. Najślawniejszy fotograf mody w Stanach Zjednoczonych wziął ją pod swoje skrzydła i uczynił z niej swą uczennicę, protegowaną i ulubioną modelkę. A kiedy skończyła osiemnaście lat, także kochankę. I kazał jej zapomnieć o Broadwayu.

Przypominając sobie, jak łatwo omotał ją swoją siecią intryg, otarła łzę. Życie było dla niej nie kończącym się pasmem rozczarowań i upokorzeń. Oprócz Snyderów, Rolfe był pierwszą osobą, która się o nią zatroszczyła.

Myślała, że ją kocha. Jakże się myliła.

A teraz leży obok innego mężczyzny i znowu bardzo jej na kimś zależy. Odwróciła głowę i spojrzała na J. D. Jest taki niepodobny do Rolfe'a, pomyślała z nadzieją. Kiedy jednak dowie się, jak bardzo jest słaba, może złamać jej serce i odejść.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jeszcze jej nie zostawi. Jeszcze nie. Nie pozwoli mu na to.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

J. D. przywiązał cenną do pomostu i stojąc na płozie, grzebał w silniku. Co chwila jednak odwracał wzrok i spoglądał na bawiącą się z Hersheyem Maggie.

Ubrana w neonowo-błękitny kostium kąpielowy, stała po kolana w wodzie. Wiatr rozwiewał błyszczące, kasztanowe włosy, lipcowe słońce pieściło miodowo-złotą, jedwabistą skórę. Hershey podskakiwał jak szczeniak, prosząc, by rzuciła mu jakiś patyk.

J. D. był zachwycony. I jak nigdy w życiu pewny swej miłości.

Tydzień, który upłynął od dnia, gdy kochali się po raz pierwszy, był jak nie kończąca się scena z jakiegoś romantycznego filmu. Byli jak Meg Ryan i Tom Hanks na szczycie Empire State Building. Kochali się przy blasku księżyca, kąpali nago i bawili jak dzieci.

Któregoś dnia wybrali się na jagody. Najpierw objedli się po uszy, a potem kochali po prostu na ziemi.

J. D. jeszcze chyba nigdy w życiu nie czuł się taki szczęśliwy. Nie pamiętał, by jakakolwiek kobieta dała mu tyle radości. Tylko jedna rzecz sprawiała mu ból. Maggie dzieliła się z nim swym ciałem, ale nie swą przeszłością. Tej strzegła jak Hershey swej ulubionej kości.

Cierpliwości, stary. Przyjdzie i na to pora, przekonywał samego siebie. Przerwał naprawę i postanowił dołączyć do Maggie.

– Ty w ogóle nie masz wstydu – skarcił ją, biorąc w ramiona.

– O co ci chodzi? – roześmiała się Maggie.

– Wiesz, że mam fioła na punkcie twych nóg, Długa. A ty tu sobie paradujesz w tym skąpym kostiumie i pokazujesz je całe jak indyk podczas Święta Dziękczynienia. W takich warunkach mężczyzna nie może pracować.

– Indyk podczas Święta Dziękczynienia? – powtórzyła, obejmując go za szyję. – To niezbyt romantyczne porównanie, Hazzard.

– Myślałem, że zauważyłaś już, iż jestem człowiekiem czynu, a nie słów. Widzę jednak, że muszę ci to przypomnieć – dodał. Wziął ją na ręce i zaczął wchodzić głębiej w jezioro.

Maggie wybuchnęła śmiechem.

– Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale chyba nie zauważyłeś, że z nas dwojga to ja jestem w kostiumie. Dżinsy to nie najlepszy strój do kąpieli.

– Oczywiście, że zauważyłem twój kostium – rzekł, wpatrując się w głęboko wycięty dekolt. – I jeśli nie chcesz, żebym go z ciebie zdarł w obecności Hersheya i ewentualnych wędkarzy, którzy mogą się tu pojawić, muszę się trochę ostudzić.

– Ty zawsze musisz się trochę ostudzić – zauważyła, bawiąc się jego włosami.

J. D., zanurzony już po uda, przystanął i uniósł brwi.

– Czy to zarzut?

– Nie, chyba nie... Właściwie to może nawet komplement.

– A więc dla ciebie jestem tylko obiektem seksu.

– I bardzo ci się to podoba – powiedziała z uśmiechem, pieszcząc jego owłosioną pierś.

– Owszem – przyznał, całując leciutko jej wargi. – Ale to nie znaczy, że mi za to nie zapłacisz – dodał i z pełnym zadowolenia uśmiechem zanurzył jej pupę w zimnej wodzie jeziora.

Maggie z piskiem wyrwała się z jego objęć i zanurkowała. Za chwilę to samo zrobił J. D. Hershey uznał to za znakomitą zabawę i też do nich dołączył.

Później, przyjemnie zmęczeni, leżeli na piasku, wygrzewając się w południowym słońcu.

W pewnej chwili J. D. wsparł się na łokciu i spojrzał na Maggie badawczo.

– Moim zdaniem już pora – rzekł.

– Pora? – mruknęła leniwie. – Na co?

J. D. przesunął delikatnie palcem po jej szyi.

– Pora, by przetestować ostatecznie twoje do mnie zaufanie.

Maggie osłoniła ręką oczy i spojrzała na niego ostrożnie. W jej spojrzeniu znowu pojawił się ten znany mu niepokój.

– Wiesz, że nie możesz już dłużej tego odkładać, Długa – rzekł z udawaną surowością. – Pora, byś poznała się bliżej z moją drugą miłością. Nadszedł czas, byś mi zaufała i poleciała ze mną.

W oczach Maggie pojawiła się ulga, ale i przerażenie. Rzuciła okiem na zdezelowaną cecinę, a potem znów na J. D.

– Mowy nie ma, bym czymś takim poleciała. J. D. tylko się uśmiechnął.

Godzinę później, ubrana w różowe szorty i biały podkoszulek, siedziała już w kabinie. Hershey chętnie ustąpił jej swe miejsce i sam zwinął się w kłębek na podłodze.

– Na pewno tym nie polecę – powtarzała uparcie po raz setny, skomentowawszy uprzednio stan posklejanego taśmą fotela.

J. D. oczywiście to zignorował. Także po raz setny. Spokojnie zapiął jej pas bezpieczeństwa.

– Powtórzmy to jeszcze raz. Gdybym choć przez chwilę myślał, że grozi nam jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, nigdy bym cię na to nie namawiał. Owszem, to stary samolot, ale zupełnie sprawny.

Maggie spojrzała na niego spod oka.

– Jest stary i właśnie dlatego lepszy. Dziś już takich nie robią. I jeśli cię to trochę uspokoi, wiedz, że choć samolot pochodzi z 1956 roku, w środku ma dużo młodszy silnik. Przepisy wymagają, by wymieniać silnik po przeleceniu tysiąca pięciuset godzin. Ten latał niewiele ponad tysiąc.

Maggie mocno zacisnęła ręce na fotelu i obrzuciła szybko wzrokiem wnętrze kabiny.

– Na pewno tym nie polecę – powtórzyła, patrząc tępo przed siebie.

J. D. kontynuował swą paplaninę, ale równocześnie włączył wtrysk paliwa, wsunął kluczyk do stacyjki i przekręcił go. Przez cały czas nie spuszczał z Maggie wzroku.

– Polecimy z wiatrem – poinformował ją, przekrzykując warkot silnika. – Z prędkością jakichś piętnastu węzłów. Mamy idealną pogodę.

– Na pewno tym nie polecę.

J. D. uśmiechnął się do niej, zauważył zbiegające kostki zaciśniętych dłoni i kontynuował

swój uspokajający monolog.

– Do startu potrzeba nam około pięciuset metrów wody. Tu mamy nawet więcej. Cudownej, spokojnej, gładkiej powierzchni. Prędkość przy starcie wynosi sto kilometrów na godzinę. Niewiele, prawda? W górze osiągniemy.

– Na pewno nie... O Boże... – krzyknęła, kiedy cessa zaczęła nabierać prędkości.

– Otwórz oczy, Maggie – zawołał ze śmiechem J. D.

– Zobacz, jak przyjemnie.

– Przyjemnie? Wcale nie jest przyjemnie! J. D. , proszę, ja nie chcę umierać.

– Nie umrzesz – uspokoił ją J. D. – Nigdy bym na to nie pozwolił. Ale jeśli nie otworzysz oczu, nic nie zobaczysz. No, Długa. Gdzie się podziała ta odważna dziewczyna?

Zaczynał się już bać, że Maggie nigdy nie przezwycięży swego strachu na tyle, by się odprężyć. Był też coraz bardziej wściekły na tego, który pozbawił ją tej umiejętności i radości życia.

Pewną ręką uniósł cessa na wysokość dwustu czterdziestu metrów i utrzymywał stałą prędkość.

– Czy nie powinienesz gdzieś zgłosić tego lotu?

J. D. ucieszył się, widząc, że Maggie otworzyła w końcu oczy i nawet zaczęła się rozglądać.

– Nie. Nie w tych okolicach. Tutaj latają tylko hydroplany i czasami jakiś mały czarter. Na tej wysokości w porę zauważę wszystko, co mogłoby nam zagrozić. Ostatnio zresztą tylko jeden facet tu lata, a jego ptaszek jest akurat w naprawie.

– Dlaczego się tak trzęsiemy?

– Uspokój się, Maggie. To nie samochód. Już sam silnik, że nie wspomnę o wietrze, powoduje wibracje. Wszystko jest w porządku. Zaufaj mi. Przecież ci obiecałem.

Wspomnienie tej obietnicy wyraźnie przyniosło jej ulgę. Prośba o zaufanie także. Maggie westchnęła i leciutko rozluźniła zaciśnięte palce.

– Zimno ci? – spytał J. D. , kiedy zauważył, że drży.

– Mogę polecieć trochę niżej. Im jesteśmy wyżej, tym robi się chłodniej.

– Nie... w porządku... stosunkowo – dodała i nawet próbowała się uśmiechnąć.

– Dobra dziewczynka. A teraz przestań się denerwować i podziwiał widoki. Nie każdy ma okazję patrzeć na jezioro z tej wysokości.

Maggie powoli stawała się coraz spokojniejsza. Wciąż jednak brzmiały jej w uszach jego słowa. „Gdzie się podziała ta odważna dziewczyna?” Tak, to prawda. Maggie bała się życia. Rolfe to sprawił.

Ale teraz nie była przecież z Rolfe'em. Była z J. D. W pełnym blasku słońca, w cudownym, czystym, świeżym powietrzu. I pamiętała jego obietnice.

Zaczynała nawet wierzyć, iż mogłaby powierzyć mu swoje sekrety. Że przy nim czułaby się sobą, była pewna siebie i bezpieczna.

Tego przede wszystkim pragnęła. Poczucia bezpieczeństwa. Przynależności. Po to właśnie wróciła w te strony. Tu przecież kiedyś była kochana i przeżyła najlepsze chwile swego życia.

Lecąc teraz z tym wspaniałym, pięknym mężczyzną zaczęła zastanawiać się, czy przypadkiem to naprawdę najlepsze nie jest dopiero przed nią. I może właśnie się zaczyna.

Wiedziała, że dzięki J. D. uda jej się przezwyciężyć swój strach. Nie tylko przed lataniem tą zdezelowaną cessną, ale przed życiem.

Ufała mu. I coraz bardziej cieszyła się tym lotem. Z tej wysokości jezioro i cała okolica wyglądały tak pięknie.

– Znam tę minę.

– Jaką? – zdziwiła się.

– Coś mi się zdaje, że zjesz na obiad własne słowa.

– Jakie?

– Chyba: „Na pewno tym nie polecę”, czy coś takiego. J. D. był wyraźnie z siebie zadowolony.

– I tak zaczęłam być już trochę głodna – przyznała z uśmiechem.

J. D. parsknął tylko śmiechem.

– Dziękuję ci – powiedziała Maggie, kładąc mu rękę na ramieniu.

J. D. nic nie powiedział. Wiedział przecież, że tak będzie.

– Czy mamy jakiś konkretny cel? – spytała kilka minut później.

– Wspomniałaś, że jesteś głodna.

Kiedy domagała się szczegółów, pokręcił tylko głową.

– Wszystko w swoim czasie.

Piętnaście minut później J. D. posadził cessnę w maleńkiej zatoczce i podpłynął do olbrzymiego pomostu, który nagle wyłonił się nie wiadomo skąd. Cumowało przy nim kilka różnego typu łodzi.

– Gdzie jesteśmy?

– Najdalej na północ, jak tylko można. Przy Purpurowym Wodospadzie.

Kiedy tylko wyłączył silnik, Maggie usłyszała gdzieś w oddali grzmot spadającej po kamieniach wody. Była ciekawa, czy w tej okolicy rzeczywiście jest wodospad.

Zanim zdążyła zapytać, J. D. rozpromienił się i pomachał do jakiejś bardzo ładnej dziewczyny, zbiegającej po trawiastym stoku.

Mocno opalona, ubrana w lekką, żółtą bluzeczkę i znoszone szorty drobna blondynka wbiegła na pomost i chwyciła za skrzydło cessny.

J. D. ramieniem otworzył drzwiczki kabiny.

– Cześć, Casey. Jak się miewa moja ulubienica? – zażartował, rzucając jej cumę.

Casey uśmiechnęła się szeroko i z ogromną wprawą przycumowała samolot.

– Dzięki, malutka.

– Dawno już nie widzieliśmy tu twojej paskudnej mordy, Hazzard.

Maggie uśmiechnęła się, widząc urażoną minę J. D.

– Paskudnej? Czy tak się zwraca do ukochanego?

– Nie pochlebiaj sobie – odparowała Casey i pisnęła z zachwytem, kiedy J. D. wyskoczył na brzeg, chwycił ją za ramiona i zagroził wrzuceniem do wody. Broniąc się, kopnęła go w kostkę.

– Okrutna z ciebie kobieta, Casey Morgan – mruknął J. D.

Dziewczyna udawała, że całkowicie go ignoruje, i zajęła się Hersheyem.

– O, to jest mężczyzna w moim typie – oznajmiła, obejmując psi łeb.

– Casey, przywiozłem ze sobą kogoś – rzekł J. D., pomagając Maggie wysiąść z samolotu. – Poznaj Maggie. Maggie, to jest Casey, największa podrywaczka z okolic Purpurowego Wodospadu.

Casey uśmiechnęła się niepewnie.

– Cześć.

– Cześć – odparła z uśmiechem Maggie. – Cenię kobiety, które dają sobie radę z mężczyznami.

– Dobra, dobra – mruknął J. D., udając obrażonego. – Dość tych feministycznych naigrywań. Zaprowadź nas do swej matki, Casey. Po tej wymianie zdań zrobiłem się głodny.

Cała czwórka, bo Hershey nie odstępował Casey ani na krok, ruszyła w górę krętą ścieżką.

Wkrótce stanęli przed starym, zniszczonym piętrowym budynkiem, którym okazał się prowadzonym przez matkę Casey hotelem.

– No, jak ci smakował hamburger? – spytała Scarlett Morgan. Wytarła ręce w fartuch i przysiadła się do Maggie i J. D.

– Przepyszny – odparła szczerze Maggie, ukradkiem przyglądając się tej szczupłej, przystojnej blondynce. – Od tak dawna jadam tylko ryby, że zapomniałam, jak smakuje porządne mięso. Że o frytkach nie wspomnę. O prawdziwych frytkach – dodała z westchnieniem.

Scarlett uśmiechnęła się i spojrzała na J. D.

– No, jak tam leci, Hazzard?

Maggie spuściła głowę, udając, że jest zajęta jedzeniem. Od pierwszej chwili polubiła Scarlett Morgan. Podziwiała też siłę jej charakteru, niezbędną przecież do prowadzenia hotelu w takiej dzikiej okolicy. Samotne wychowywanie Casey też na pewno nie było łatwe.

– Wspaniale, Scarlett – odparł po prostu J. D. – Po prostu wspaniale.

Scarlett spojrzała na niego badawczo, potem znacząco uśmiechnęła się do zarumienionej Maggie.

– Cieszę się, że to słyszę.

– Na pewno zaczniesz spokojniej sypiać, mamusiu – zażartował J. D.

Maggie pytająco uniosła brwi.

– To nasz stary żart – wyjaśnił J. D. – Scarlett zawsze próbuje mi matkować. Ktoś mógłby nazwać to gderaniem, ale nie ja – dodał widząc gniewną minę Scarlett. – Zmieńmy może temat – zaproponował. – Jak interes?

Scarlett wzruszyła ramionami.

– Nie najgorzej. Lato było udane. Mam komplet gości do końca września.

– Coś cię jednak trapi.

– Mylisz się – odparła z wymuszoną swobodą Scarlett. – Wszystko jest w zupełnym porządku – dodała i wstała, kończąc dalszą rozmowę na ten temat. – Obowiązki wzywają.

Muszę was pożegnać. Miło mi było cię poznać, Maggie. Namów tego wstręciucha, by znów kiedyś cię tu przywiózł. Casey już się w tobie zakochała. Ja też chętnie cię tu znowu zobaczę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła szczerze Maggie.

– Trzymaj się, J. D. O, byłabym zapomniała. Jak sobie radzisz z kłusownikami?

J. D. spochmurniał.

– Kiepsko.

– Nie martw się. W końcu ich dorwiesz.

– Urocza kobieta – powiedziała Maggie, patrząc za odchodzącą Scarlett.

– I odważna jak diabli. Ale martwię się o nią. Ten jej interes naprawdę kiepsko idzie.

– Jesteście zaprzyjaźnieni? J. D. skinął głową.

– Owszem. Biedna kobieta nie miała łatwego życia. Ojciec Casey był... no, powiedzmy, że był idiotą.

– Czuję w nich obu jakąś siłę.

– Dobrze to ujęłaś. Jak skończysz jedzenie, jeszcze coś ci pokażę.

Pokazał jej cud natury, któremu hotel zawdzięczał swoją nazwę. Purpurowy Wodospad. Spadająca kaskadami woda rozbijała się o bogate w żelazo, czerwone skały. Tworzyło to złudzenie prawdziwie purpurowej fontanny.

– To niesamowite – zachwycała się Maggie, przekrzykując grzmącą wodę.

– Ty też – rzekł J. D. biorąc ją w ramiona. – Ty też jesteś niesamowita.

– Polubiłam twoje przyjaciółki – powiedziała, tuląc się do niego. – Rozpoznały mnie – widziałam, jak Casey pokazywała matce stary egzemplarz „Vogue’a” – i w ogóle nie dały tego po sobie poznać.

– To znaczy, że i one cię polubiły. Ja też cię lubię – dodał.

– To się dobrze składa, bo ja też cię lubię – przyznała po chwili, a nie przyszło jej to łatwo.

Tak dobrze się z nim czuła. Wiedziała, że mu na niej zależy. Stwierdził, że wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia, ale potem już do tego nie wracał. Była mu za to wdzięczna. Dla niej było jeszcze za wcześnie na deklaracje.

Do dzisiaj. Dopiero teraz nabrała odwagi i zaczęła zastanawiać się nad swymi uczuciami do J. D. Wiedziała już dobrze, czym się to skończy. Na końcu tej drogi nieodwołalnie czekała na nią miłość.

Tego właśnie najbardziej się bała. Wiedziała, że po raz dnigi nie przeżyłaby odrzucenia. Nie z jego strony.

– Pora już wracać – przerwał te rozmyślenia J. D. – Chyba że chcesz, żebyśmy wynajęli tu pokój. Pewnie udałoby się namówić Scarlett, by znalazła nam jakiś na godzinę. Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że kiedyś był tu burdel.

– Żartujesz?

– Tak mówią.

– Opowiedz mi o tym.

W drodze do samolotu opowiedział jej kilka historyjek z przełomu wieków o wędrujących w tych stronach osadnikach, którzy zaspokajali swe pragnienie w miejscowym



barze, głód w tutejszej restauracji, a bardziej cielesne apetyty w pokojach na górze.

– Powiadają nawet, że Purpurowy Wodospad ma swego ducha – dodał z podejrzanym uśmiechem.

– Ducha?

– Pewną córę Koryntu porzuconą przy ołtarzu. Podobno od stu lat włóczy się pokojach hotelu, szukając swego narzeczonego.

– Żaden mężczyzna nie jest wart takiego oddania – stwierdziła z przekonaniem Maggie.

– Nawet taki, który...

J. D. przerwał. Nachylił się ku niej i szeptem, prosto do ucha, opowiedział jej ze wszystkimi szczegółami, co będzie robił z nią tej nocy, kiedy już znajdą się w łóżku.

– No, może byłam zbyt pochopna w swoich ocenach – powiedziała potem, zarumieniona z zakłopotania, ale i z podniecenia tym, co ją czeka. – Naprawdę umiesz to wszystko?

J. D. kiwnął głową, a pod nią ugięły się kolana.

– A więc powiem ci jedno, Hazzard.

– Co takiego?

– Udowodnij to.

I tej nocy, w łóżku, w ciszy przerywanej tylko jej pełnymi rozkoszy westchnieniami i szelestem prześcieradeł, udowodnił, że jest mężczyzną, który nie rzuca słów na wiatr...

– Jesteś gotowa, Długa?

– Czy to na pewno dobry pomysł?

– Tchórzysz?

Maggie westchnęła głęboko i spojrzała na niego niepewnie.

– Nie, sugeruję tylko, że jeszcze możesz się wycofać.

– Mowy nie ma.

Maggie wyciągnęła rękę i chwyciła umieszczony przed nią drążek sterowniczy. W tej samej chwili J. D. puścił swój i oddał jej pełną kontrolę nad samolotem. Maggie poczuła nagły, wszechogarniający strach.

– Dzielną dziewczynka – pochwalił ją J. D. – Cóż za pewność siebie.

Maggie ani trochę nie czuła się pewna siebie. Była istnym kłębkim nerwów. Znajdowała się dwieście pięćdziesiąt metrów nad ziemią i panowała – jeśli można tak powiedzieć – nad samolotem, który jej zdaniem w ogóle nie nadawał się do latania.

Był to jej trzeci lot w ciągu trzech dni. I w odróżnieniu od poprzednich, tym razem to nie J. D. ją do tego namówił.

Ze jest zakochana w tym jeziorze, wiedziała od dawna. Teraz odkryła w sobie namiętność do unoszenia się na wietrze w tym maleńkim pojeździe. Chciała doświadczyć wszystkiego – odczuwalny w żołądku niepokój przy starcie, cudowną wolność i swobodę lotu, ryzykowne lądowanie na wzburzonej wodzie. Więc kiedy kierowany jakimś impulsem J. D. zaproponował, by sama popilotowała samolot, nie była w stanie powiedzieć: nie.

– Znakomicie sobie radzisz – krzyknął jej prosto do ucha. – Jeśli chcesz zwiększyć wysokość, pociągnij drążek do siebie. O tak. Dobrze. Nie za szybko. Lepiej. Dużo lepiej.

Widzisz? Mówiłem ci, że to łatwe.

– Co się dzieje? – przeraziła się nagle.

– Spokojnie. Wszystko w porządku. Wpadliśmy w małą dziurę powietrzną. Widzisz tę strzałkę? Staraj się utrzymać ją pośrodku. Skręć drążek trochę w lewo... jeszcze trochę. Przytrzymaj. Już dobrze. Widzisz, jakie to proste?

Wcale nie było to proste i Maggie dobrze o tym wiedziała. Szybkim spojrzeniem podziękowała mu jednak za zaufanie. Na niebie nie było ani jednej chmurki, wiał stały, słaby wiatr, więc każdy jej ewentualny błąd w pilotażu J. D. mógł naprawić jednym szarpnięciem swego drążka.

– Skręć trochę w lewo, Długa. O, tak. Delikatnie. Jest tam coś w dole, co chciałbym dokładniej obejrzeć.

Cessna wspaniale zareagowała na jej manewry i zachwycona Maggie dopiero w tej chwili zrozumiała namiętność J. D. do latania.

– Twoja kolej – powiedziała, uznawszy, że jak na pierwszy raz ma dość wrażeń.

– Na pewno już nie chcesz prowadzić? Maggie kiwnęła głową.

J. D. pogratulował jej krótkim pocałunkiem i przejął stery.

– Jak na żółtodzioba, byłaś znakomita. Ona też czuła się znakomicie.

– A co byś powiedziała na nie zaplanowany postój? Wcześniej zatrzymali się w Crane Cove, gdzie nabrali paliwa, a Maggie poznała kilku przyjaciół J. D. Teraz byli już w drodze do domu.

– Co masz na myśli?

– Widzisz tę zatoczkę w dole? Maggie rozpoznała ją natychmiast.

– To przecież moja zatoka.

– A teraz spójrz przez drugie skrzydło. Widzisz ten drewniany baraczek?

Maggie wysiliła wzrok i pośród drzew dojrzała ciemny, drewniany dach.

– Widzę.

– To dom twego przyjaciela, Greene'a.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Nie miałam pojęcia, że mieszka tak daleko ode mnie.

– To wcale nie jest daleko. Chcesz mu złożyć wizytę? Maggie wahała się. Abel nie był zbyt towarzyski. Głupio jej było wpadać do niego bez zapowiedzi.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Nie zjawił się u mnie od kilku tygodni.

J. D. uśmiechnął się znacząco.

– Bo wie, że ja zabieram ci cały czas.

– Skąd miałby to wiedzieć?, – Znam się na tym. Możesz mi wierzyć, że Abel wie o wszystkim.

Mimo że Maggie jeszcze raz wyraziła swe wątpliwości, J. D. zszedł w dół i miękko wylądował na wodzie.

Maggie przekonywała samą siebie, że nie ma powodu do niepokoju. J. D. chce tylko umożliwić jej odwiedzinę u przyjaciela. Nie wykorzystuje tego, by przy okazji przeprowadzić małe śledztwo i wykryć powiązania Abela z kłusownikami.

Zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia. Jak mogła o czymś takim pomyśleć? Jak mogła

podejrzewać J. D? Przecież go zna. Ufa mu. Powierzyła mu nie tylko swoje ciało i życie, ale była prawie pewna, że może powierzyć także swe serce.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Maggie siedziała sztywno w fotelu i przyglądała się, jak J. D. wpływa w płytką zatoczkę. Przy niewielkim pomoście przycumowana była mała rybacka łódka i stare czółno. Cessna zmieściła się po drugiej stronie.

– Chyba nie ma go w domu – powiedziała niepewnie, kiedy J. D. wyłączył silnik.

Oprócz plusku fal, śpiewu ptaków i szumu liści było zupełnie cicho. Tak cicho jak w kościele podczas pogrzebu. Tak spokojnie jak w oku cyklonu.

Maggie sama nie wiedziała, skąd przyszły jej do głowy te porównania. Nie miała też pojęcia, skąd wzięła się nagle zmiana jej nastroju. Jeszcze przed chwilą była tak podniecona swym pierwszym lotem, a teraz ogarnęło ją przygnębienie i pogłębiający się strach.

– Popelniliśmy błąd, przyjeżdżając tutaj – powiedziała z nadzieją, że jednak uda jej się wyperswadować J. D. te odwiedziny.

– Ale skoro już wylądowaliśmy... – zauważył, zaniepokojony jej wahaniem – powinniśmy się chociaż przywitać.

– Może nie ma go w domu.

– Myślałem, że chętnie go zobaczysz. J. D. był szczerze zdziwiony.

– Jest tu jego łódka – dodał, kiedy jej jedyną odpowiedzią było milczenie. Wysiadł z kabiny i przywiązał hydroplan do pomostu. – Nie mógł pójść daleko.

W końcu wysiadła i Maggie. Stojąc na pomoście, osłaniała ręką oczy i rozglądała się za Ablem.

Ze zdziwieniem zauważyła, że wszędzie wokoło i to w najdziwniejszych miejscach, ktoś poustawiał tabliczki z napisem „Wstęp wzbroniony”.

– Chyba nie chce, żeby mu przeszkadzać – szepnęła ostrożnie, jakby była w bibliotece i bała się rozgniewać groźnego bibliotekarza.

– Nie przypuszczam, by te ostrzeżenia dotyczyły przyjaciół – rzekł, parodiując jej szept. – Puste pomosty często przyciągają nieproszonych wędkarzy, spędzających tu wakacje. Te znaki to forma ochrony przed takimi gośćmi. Na pewno nie przed nami.

Wziął Maggie za rękę i poprowadził ją pomostem w kierunku brzegu. Nawet Hershey, który normalnie pobiegłby wesoło w las, szedł wolno i niepewnie przed nimi.

Wątpliwości Maggie narastały z każdym krokiem. W głowie wciąż kołatało jej się jedno niepokojące pytanie. Dlaczego J. D. zdecydował się na te odwiedziny? Kiedyś mówił jej, że przez całe te lata ani razu nie złożył Ablowi wizyty. Dlaczego robi to akurat dzisiaj? Czyżby chciał wykorzystać jej obecność jako pretekst?

Wchodząc po kamiennych schodach prowadzących do chaty Abła, zaczęła się trochę uspokajać. Pozwoliła sobie nawet na zachwyt nad posiadłością swego przyjaciela.

Wyglądało na to, że Abel nie tylko żyje wśród przyrody, ale stara się jak najlepiej z nią współżyć. Olbrzymie sosny rosły tak blisko jego drewnianego domku, że aż dziw brał, iż udało mu się go między nie wcisnąć. Szczególnie starał się, by nie zniszczyć wystających spomiędzy skał grubych, pokręconych korzeni. W każde wolne miejsce naniósł świeżej ziemi

i posadził tam prawdziwe dywany dzikich irysów, truskawek, stokrotek i mnóstwa innych roślin, których Maggie nawet nie umiałaby nazwać.

– Jak tu pięknie – szepnęła, prawie już zupełnie zapomniawszy o strachu. – Popatrz. Posłuchaj – dodała, kiedy jej wzrok padł na kłębiący się przy specjalnych karmnikach tłum wielobarwnych, rozśpiewanych ptaków.

– Co to? – spytała, wskazując jakieś dziwne urządzenie wiszące na drzewie.

– Lizawka solna. Jelenie to uwielbiają. Wygląda na to, że nie gardzą też kukurydzą – dodał, wskazując na walające się na ziemi ogryzione kolby.

– Widzisz? Abel dba o przyrodę, hoduje kwiaty, karmi ptaki i jelenie. Jak można podejrzewać go o coś tak obrzydliwego, jak kłusowanie na niedźwiedzie?

Odwróciła się ku niemu i zamarła. Jego mina zmroziła jej krew w żyłach.

– A to skurczybyk – warknął pod nosem J. D., patrząc na coś ponad jej ramieniem.

Z zaciśniętymi zębami podszedł do niewielkiej szopy, wyrąbanej w skale. Przykucnął i przyglądał się uważnie temu, co przyciągnęło jego wzrok.

Serce Maggie zaczęło bić jak oszalałe.

– Co się stało? – spytała z niepokojem.

Podeszła do niego i też zauważyła jakieś urządzenie w kształcie walca, częściowo ukryte pod brezentowym płótnem.

– Co to takiego? – powtórzyła.

– Pułapka na niedźwiedzie.

Ale to nie J. D. jej odpowiedział, lecz Abel.

Na dźwięk jego głosu J. D. i Maggie drgnęli jak oparzeni. Hershey zaś warknął i zjeżył się, widząc u boku Abela Nashatę.

Maggie odetchnęła głęboko.

– Jezus Maria, Abel! Ale mnie przestraszyłeś.

Abel wpatrywał się w nią w milczeniu, a w jego oczach pojawiło się rozczarowanie.

– Ja też jestem trochę zaskoczony – rzekł w końcu i spuścił ze smyczy Nashatę, by dołączyła do spokojnego już Hersheya. – Zaskoczony waszą wizytą.

Czując się winną, że naruszyli jego prywatność, Maggie zmusiła się do uśmiechu.

– J. D. pomyślał, że miło by było cię odwiedzić.

Abel przeniósł wzrok na J. D. Zacisnął zęby i potrząsnął głową, odrzucając na plecy długie, kruczoczarne włosy.

– Jasne. Znalazłeś to, czego szukałeś, Hazzard? Patrząc na obu mierzających się wzrokiem mężczyzn, Maggie poczuła niemiły skurcz w żołądku.

– Jestem pewna, że Abel wytłumaczy jakoś istnienie tej pułapki – powiedziała szybko i spojrzała na Greene'a, szukając u niego potwierdzenia.

– Oczywiście – odparł twardo Abel. – Problem polega tylko na tym, by ktoś zechciał mi uwierzyć.

Obrzucił J. D. długim, lodowatym spojrzeniem, odwrócił się i odszedł.

Maggie chciała za nim pobiec, lecz zbyt czuła się winna. Stała po prostu i milczała.

– Chodź, Maggie – rzekł ostro J. D. i chwycił ją za ramię. – Idziemy stąd.

Podczas krótkiego lotu do domu Maggie była nienaturalnie milcząca. J. D. też zresztą nie miał szczególnie ochoty na rozmowę. Było już prawie ciemno, kiedy podpłynęli do pomostu. Hazard wysiadł pierwszy i podał rękę Maggie. Ona jednak nie przyjęła jego pomocy, sama wy dostała się z kabiny i poszła prosto do domu.

J. D. nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Wiedział, że Maggie jest zdenerwowana. Ma do tego powody. I to on jest częściowo temu winny.

To przez niego zaczęła pewnie zastanawiać się, czy Greene rzeczywiście jest taki, jakim go widzi. To on dostarczył jej dowodów, które mogą zaprowadzić Abła za kratki.

Te odwiedziny wydawały mu się takim dobrym pomysłem. Chciał tylko sprawić jej przyjemność.

Znowu stanęła mu przed oczami tamta pułapka. I wyraz twarzy Greene'a. Owszem, J. D. chciał zlikwidować kłusownictwo, ale nie kosztem Maggie. I choć wszyscy od dawna podejrzewali Abła, J. D. tak naprawdę wcale nie chciał, by to on okazał się winowajcą. Jednak, choć sam fakt znalezienia u niego pułapki nie był jednoznacznym dowodem, stawiał go jednak w cieniu poważnych podejrzeń.

J. D. przywiązał mocno ciesznię do pomostu i wspiął się ścieżką na wzgórze. Maggie siedziała skulona w fotelu przy oknie i ze smutkiem wpatrywała się w zatokę.

Cisza panująca w tym pokoju była równie trudna do zniesienia, jak jego poczucie winy.

– Strasznie mi przykro, że cię na to naraziłem – rzekł cicho.

– Nie mogłeś sobie tego darować, prawda? Nie potrafiłeś znieść, że przyjaźnię się z Ablem – powiedziała lodowatym tonem.

Zanim zdążył się pozbierać, otrzymał kolejny cios.

– Myślałam, że jesteś inny. Naprawdę tak myślałam. J. D. stał jak ugodzony nożem prosto w serce. Bolały go jej słowa, a jeszcze bardziej to, co zobaczył w jej oczach. Uklęknął przy jej fotelu, a potem wpatrywał się w ścianę, kiedy wstała i odeszła od niego.

Zacisnął zęby i zmarszczył brwi. Wstając, zacisnął też pięści. Stał za nią i patrzył na jej plecy.

– Co ty wyprawiasz? – W jego głosie brzmiał nie tylko gniew, ale i strach. – O co ci, do cholery, chodzi?

Maggie odwróciła się ku niemu. W jej lodowatym spojrzeniu dostrzegł także rozdzierający serce żal.

– O manipulację. O zaufanie. Zaufałam ci. Zaufałam... a ty mnie wykorzystałeś.

J. D. miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Wszystko, co było dla niego ważne, legło w gruzach.

– Dobrze, Maggie. Wiem, że jesteś zdenerwowana. Wściekła nawet. Mogę to zrozumieć. Ale jedno jesteś mi winna. Wyjaśnij mi, dlaczego na mnie. Dlaczego mnie winisz za to wszystko.

Maggie potrząsnęła głową. W jej oczach pojawiły się łzy.

– To było takie proste, prawda? Wiedziałeś, że Abel nie byłby zachwycony twoją wizytą, musiałeś więc znaleźć jakiś pretekst. Tym pretekstem byłam właśnie ja. A kiedy już się tam

znalazłeś, nie mogłeś nie skorzystać z okazji i nie przyłapać go na gorącym uczynku – mówiła z pełnym przekonaniem. – Sama nawet nie wiem, czemu mnie to dziwi. Powinam być już do tego przyzwyczajona. Zawsze znalazł się ktoś, kto miał jakiś powód, by dzięki mnie coś osiągnąć.

J. D. przymknął oczy i westchnął głęboko. Policzył do dziesięciu. Potem do dwudziestu. Bał się, że jeśli się nie opanuje, źle się to wszystko skończy. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że potrafi być gwałtowny i może wpaść w furję.

Siła tego odkrycia wstrząsnęła nim. Krew szumiała mu w uszach, kiedy próbował odzyskać panowanie nad sobą i zacząć działać racjonalnie. Nawet nie podejrzewał u siebie takiej siły woli. Zdusił gniew i strach i zaczął myśleć.

Już tam, u Greene'a, wyczuł w zachowaniu Maggie zmianę. Wtedy przypisywał ją szokowi. Widział jej ból, ale za jego przyczynę uznał rozczarowanie Ablem.

Nie zauważył, nie dostrzegł, nie wyczuł, że widoczne w jej oczach oskarżenie o zdradę nie było skierowane przeciwko Ablowi, lecz przeciw niemu.

Dopiero teraz to zrozumiał. Maggie dała mu to aż nadto wyraźnie do zrozumienia. Była nim rozczarowana i wściekła.

– Jesteś niesprawiedliwa, Długa – rzekł najspokojniej jak mógł. – Bardzo niesprawiedliwa.

Przełknął głośno ślinę, odetchnął głęboko i spojrzał przez okno w ciemność.

– Jak wiesz, zaufanie powinno być obustronne. Bardzo się teraz staram uwierzyć, że tak naprawdę wcale nie chodzi tu o mnie. Cholernie się staram, żeby wmówić sobie, iż przeżyłaś ogromne rozczarowanie i obarczasz za to winą mnie tylko dlatego, że akurat jestem pod ręką.

Jej milczenie oznaczało tylko potwierdzenie wcześniejszych zarzutów. J. D. patrzył na nią z nadzieją, że dotrze do niej prawda jego słów. Maggie jednak znanym mu już obronnym gestem złożyła ręce na piersiach, oddalając się od niego jeszcze bardziej.

– Co się z tobą stało? – krzyknął, kiedy w dodatku odwróciła się od niego plecami.

Nie miał zamiaru dłużej tego znosić. Podszedł do niej szybkim krokiem, chwycił za ramiona, obrócił ku sobie i zmusił, by na niego spojrzała.

– Kto cię tak bardzo skrzywdził, że musisz winić mnie za to, co ci zrobił? Czy nie widzisz, że ja to nie on?

Jej jedyną reakcją było milczenie.

– Maggie, do jasnej cholery – warknął przez zaciśnięte zęby. – Przecież należy mi się jakieś wyjaśnienie!

Jeszcze raz spojrzał jej błagalnie w oczy, zaklął pod nosem i wypuścił ją z objęć.

Wiedział, że musi od niej odejść. Natychmiast. Zanim powie coś, czego będzie żałował jeszcze bardziej niż jej braku zaufania.

– Nie mogę zrobić tego sam – rzekł ze smutkiem. – Nie potrafię ci pomóc, jeśli nie wiem, w czym rzecz.

Kiedy nadal milczała, podszedł do drzwi i chwycił za klamkę.

– Wynoszę się.

Otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z Ablem Greene'em.

J. D. przez moment nie był w stanie zareagować. Starał się ratować swą urażoną dumę, ale i powstrzymać się, by nie wyładować swego gniewu na Ablu.

– Co ty tu, do cholery, robisz? – warknął w końcu. Greene ani drgnął. Patrzył prosto w oczy J. D.

– Ta pułapka jest dla małego niedźwiedziątka, które słyszałem w nocy. Podejrzewam, że kłusownicy zabili jego matkę. Jeśli go nie złapię i nie przetransportuję na północ, nie przeżyje.

J. D. rozprostował ramiona i wpatrywał się w twarz Greene'a. Nie miał wątpliwości, że usłyszał prawdę. Nie był jednak w nastroju, by cieszyć się tym faktem.

– I przyszedłeś tu w nocy, żeby mi o tym powiedzieć? Greene najpierw ponad ramieniem J. D. spojrzał na Maggie.

– Przyszedłem tu – rzekł potem – bo znalazłem obozowisko kłusowników. Wygląda na to, że planują kolejne polowanie. Kiedy ich dziś wieczorem namierzyłem, skontaktowałem się przez radio z Wydziałem Ochrony Środowiska. Pomyślałem sobie, że chciałbyś być przy tym, kiedy zrobią na nich nalot.

Niezmałony spokój Greene'a okazał się zaraźliwy. J. D. odetchnął z ulgą. W tej akurat chwili udział w polowaniu na kłusowników, niszczących nieliczną już populację tych rzadkich, łagodnych zwierząt, był mu bardzo na rękę.

– Ilu ich jest i gdzie? – spytał, wychodząc na dwór. Nawet nie zauważył, że Maggie idzie tuż za nim.

– Trzech, może czterech. Zaszyli się na Aligatorach. . – Na Aligatorach? Kurczę. Nic dziwnego, że nie mogliśmy ich znaleźć.

Aligatory były labiryntem wysepek, otoczonych garbatymi, ostrymi jak brzytwa skałami. Jeden nieostrożny ruch płynącego pośród skalistych kolców przypominających paszcze gadów, którym wyspy zawdzięczają swą nazwę, skończyć się mógł rozerwaniem dna łodzi. Co więcej, szalejące wokół wysp fale tworzyły tam wodny odpowiednik Trójkąta Bermudzkiego. Tylko idiota albo ktoś bardzo zdeterminowany zapuścić się mógł w tamte okolice.

I tylko Abel Greene, który znał jezioro jak własną kieszeń, mógł ryzykować i poszukiwać kłusowników właśnie tam. Na szczęście dla czarnych niedźwiedzi to ryzyko się opłaciło.

– Kiedy ich znalazłeś?

– Dwa dni temu. Później ich obserwowałem, żeby upewnić się, co kombinują.

– Jak długo będziemy tam płynąć twoją łodzią? – dopytywał się J. D. , kiedy szli już po pomoście.

– Może godzinę. Jezioro jest dziś spokojne. Ludzie z Wydziału Ochrony Środowiska dopłyną jakieś pół godziny po nas, jeśli tylko nie zapomną moich wskazówek i nie pomylą drogi.

– A co wy tam chcecie robić, dopóki tamci nie dopłyną? Głos Maggie zaskoczył ich obu. Dopiero w tej chwili J. D. uświadomił sobie, że szła za nimi cały czas i słyszała każde słowo.

Pojawienie się Greene'a z informacją o kłusownikach skierowało jego uwagę na bardziej konkretny temat. Jej głos i malujący się na twarzy niepokój sprawiły, że przypomniał sobie



natychmiast jej oskarżenia. Wrócił tłumiony gniew.

– To ciebie nie dotyczy, Maggie – rzekł ostro.

– Ciebie też nie! – krzyknęła. Szybko go zignorowała i zwróciła się do Greene'a. – To sprawa odpowiednich władz. Przecież nie jesteście przygotowani do łapania niebezpiecznych przestępców!

J. D. zacisnął zęby, podszedł do cieszni i otworzył drzwiczki kabiny.

– Chłopcy z Ochrony prosili tylko, byśmy mieli tych drani na oku, dopóki nie przyjadą – wtrącił się Abel, chcąc uspokoić Maggie.

Tymczasem J. D. ładował do plecaka różne potrzebne rzeczy, od latarki, klucza francuskiego po rolkę taśmy samoprzylepnej. Później podał plecak siedzącemu już w łodzi Ablowi.

– To wcale nie będzie niebezpieczne – dodał Abel, robiąc miejsce Hazzardowi.

– Wobec tego ja też płynę.

– Nie – rzekł stanowczo J. D., kiedy Maggie próbowała wgramolić się za nim. – Nie ma mowy.

– Nie jesteś moim szefem, Hazzard. Ty zresztą też nie, Abel – dodała pospiesznie, wciągając bluzę, którą zabrała, wychodząc z domu. – Jeśli wy jedziecie, ja też wybiorę się z wami. A jeśli mnie wyrzucicie, popłynę własną łodzią.

– Nawet nie umiałabyś nią kierować.

– Wobec tego jeśli zabłądzą lub się utopię, będziecie mnie mieli na sumieniu.

J. D. spojrzał na Ablę.

– Musimy ruszać, Hazzard.

J. D. westchnął głęboko. Już żałował tego, co miał za chwilę powiedzieć. Nie było jednak czasu na dyskusje.

– Dobra, jedź z nami. Ale kiedy tam dopłyniemy, zostaniesz w łodzi i będziesz siedzieć cicho jak trusia, rozumiesz?

Maggie nie odpowiedziała.

– Rozumiesz? – powtórzył, prawie wrzeszcząc. Odpowiedzią było krótkie kiwnięcie głową. Maggie wsiadła do łódki i usadowiła się obok Hersheya.

Unikała spojrzenia J. D., kiedy podał jej kamizelkę ratunkową i kazał ją włożyć. Uspokoił się jednak, kiedy spełniła jego polecenie.

Płaskodenna łódź rybacka Ablę przecinała ciemną wodę jak ostrze noża. Milcząca i poważna Maggie siedziała zwrócona plecami do tafli jeziora i przyglądała się, jak obaj mężczyźni, nachyleni ku sobie, przekrzykując warkot silnika, omawiają strategię.

Skuliła się, chroniąc przed omiatającym ją chłodnym wiatrem i okazjonalnym, tak samo chłodnym spojrzeniem J. D.

Serce jej się krajało, kiedy patrzyła na nich obu.

Na dumne, ostre rysy twarzy Ablę, na szramę na jego policzku. Jakie to smutne, że nikt go nie rozumie. Że jego tajemnicza rezerwa i zamiłowanie do samotności wzbudzają tyle podejrzeń i niechęci.

Na J. D., w którym się zakochała. Tak się bała przyznać do tej miłości, że omal go dziś nie wypędziła. A on przecież tak bardzo nie chciał uwierzyć w winę Abla, że jego wyjaśnienie przyjął od razu za dobrą monetę.

Ona jednak, doświadczona przez innego mężczyznę, nie była w stanie uwierzyć w czystość jego intencji.

Postanowiła, że kiedy to wszystko się skończy, jakoś mu to wynagrodzi. Powie mu, co się z nią dzisiaj stało. Wyjaśni, dlaczego winiła go za wszystko złe, co wydarzyło się w jej życiu. Opowie mu o tym, czego jeszcze do tej pory nie ujawniła i co już właściwie chciała mu powiedzieć, kiedy odchodził, a kiedy niespodzianie zjawił się Abel.

Przeraziła się na samą myśl, że omal nie straciła swej największej szansy. W tej samej chwili Abel wyłączył silnik i wokoło zapanowała głęboka cisza.

– Teraz popłyniemy już na pagajach – szepnął Abel. – Dotychczas płynęliśmy pod wiatr, więc nie mogli nas słyszeć, ale lepiej nie ryzykować. Widziałem ich motorówkę. Gdyby zechcieli uciec, nie mamy szans, by ich dogonić.

J. D. tylko skinął głową i obaj zabrali się do wiosłowania. Manewrując poprzez płataninę kanałów i ostrych skał, zbliżali się do odległej o jakieś sto metrów wyspy.

Kiedy byli już tuż przy skalistej plaży, J. D. ukląkł na dziobie, zsunął się bezszelestnie do wody i skierował łódź na brzeg. Chwilę po nim wysiadł i Abel i przywiązał cumę do olbrzymiego pnia leżącego na ziemi.

Maggie znowu zaczęła się o nich bać.

– Co teraz zrobicie? – szepnęła, kiedy J. D. ponownie nakazał jej zostać w łodzi wraz z Hersheyem.

– Będziemy ich obserwować, dopóki nie zjawią się ludzie z Wydziału Ochrony Środowiska – odparł szorstko i spojrzał znacząco na Abla.

Maggie dobrze знаła takie spojrzenia. Wymieniali je między sobą mężczyźni, kiedy mówili kobiecie coś, co było kłamstwem.

Zanim zdążyła im to powiedzieć, zostawili ją i zniknęli.

Maggie nigdy nie uważała się za osobę szczególnie odważną. Jej strach przed utratą J. D. był tego najlepszym dowodem. Nie była też głupia. Skoro już zmusiła ich, by ją ze sobą wzięli, na pewno nie miała zamiaru plątać im się pod nogami.

Z tego tylko powodu pozostała na miejscu. Objęła Hersheya za szyję i nasłuchiwała.

– Ciekawe, dlaczego nie mogli zostawić tego tym specjalistom od ochrony środowiska – mruknęła do siebie z nadzieją, że jej głos uspokoi nie tylko Hersheya, ale i ją samą. – Bo Abel wie, że go podejrzewano, i chce odzyskać swe dobre imię, prawda, Hershey? I ponieważ J. D., który i tak od dawna szukał tych kłusowników, chce udowodnić Ablowi, że mu ufa.

Ufa. To słowo znów jej coś przypomniało.

Proszę, proszę, proszę, niech wyjdzie z tego cały, żebym mogła mu powiedzieć, jak bardzo żałuję, błagała Boga z nadzieją, że jeszcze chce jej słuchać.

– To duzi chłopcy, Hershey – mówiła dalej, walcząc z pokusą, by iść i ich poszukać. Szukała dalszych powodów, by pozostać w łodzi, mimo iż mężczyzna, którego kocha, znajduje się w niebezpieczeństwie. – Dadzą sobie radę. Ten klucz francuski, który J. D.

wrzucił do...

Przerwała, kiedy jej wzrok padł na plecak z kluczem i różnymi innymi niezbędnymi rzeczami, leżący na dnie łodzi.

– Jezus Maria! Hersh! J. D. zapomniał plecaka. Wiedziała, że oto znalazła powód, by pójść za nim.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Chyba nie nadaję się na bohaterkę – mruknęła Maggie. Wzięła plecak, chwyciła mocno za obrożę Hersheya i z nadzieją, że nie narobiła za dużo hałasu, wydostała się z łodzi. Mokra po kolana i bardzo przerażona, wspięła się po stromym, śliskim brzegu i rozpoczęła wędrówkę w głąb gęsto zalesionej wyspy.

Nie przeszła jeszcze dwudziestu metrów po nierównym, kamienistym podłożu, kiedy usłyszała jakieś głosy. Z bijącym sercem zacisnęła mocno obie dłonie. Jedną na obroży Hersheya, drugą na plecaku. Pies też zareagował na te dźwięki – głuchym, groźnym warknięciem.

– Cicho! Dobry piesek – szepnęła, klękając obok niego. – Bądź greczny i milcz – błagała. Nie była przecież pewna, do kogo należą te głosy. Do J. D. i Abła czy do kłusowników.

Przeszła wolniutko jeszcze kilka kroków i ostrożnie wyjrzała zza drzewa. Na niewielkiej polance płonęło ognisko. Głosy, zdecydowanie gniewne, słyszała teraz wyraźniej. Serce Maggie zaczęło bić tak szybko, jak nie biło nawet po najcięższych ćwiczeniach aerobiku. Zrozumiała, że znalazła się w obozowisku kłusowników.

Instynkt samozachowawczy kazał jej uciekać, zaufała, że Abel i J. D. sami dadzą sobie radę. Zwyciężył jednak instynkt opiekuńczy, kiedy nagle rozpoznała głos J. D.

Strach ścisnął ją za gardło. Wyteżyła wzrok i w pobliżu ogniska dostrzegła ciemne postacie kilku potężnie zbudowanych mężczyzn, a obok nich sylwetki Abła i J. D.

Zaciskając mocno rękę na obroży Hersheya, podeszła kilka kroków bliżej. Na szczęście stłumiła krzyk, kiedy uświadomiła sobie, że J. D. i Abel mają przeciwko sobie sześciu mężczyzn. Dwaj z nich mierzyli lufami groźnie wyglądających pistoletów prosto w piersi stojących z podniesionymi rękami Abła i Hazzarda.

W głowie kołatała jej się jedna myśl. Dwaj najbardziej jej drodzy ludzie są w niebezpieczeństwie. Trzeba coś wymyślić, by im pomóc.

Ale przecież tamci mają pistolety, przestrzegł ją zdrowy rozsądek. Maggie zupełnie nie знаła się na broni, nie umiała też sobie radzić z kompletnym paraliżem mózgu, jaki ją w tej chwili ogarnął i pozbawił zdolności racjonalnego myślenia. Na szczęście Hershey nie czekał na jej decyzję.

Kiedy pies rzucił się ku swemu panu, zdążyła tylko krzyknąć i runęła jak długa na ziemię.

Kiedy przewyciężyła najgorszy ból, uniosła się i rozejrzała dokoła.

Jedną rękę nadal miała zaciśniętą na plecaku, w drugiej ścisnęła strzep skóry, która kiedyś była obrożą Hersheya.

– O, Boże – jęknęła, dźwigając się na nogi. Niecierpliwym gestem odgarnęła z oczu zmierzwione włosy.

Wokół ogniska zaczęła się kotłowanina. J. D. walczył z dwoma brodatymi zbójami. Jeden siedział mu na plecach. Drugi zamierzał się na niego kolbą pistoletu. Abel, niebezpiecznie blisko ognia, szamotał się na ziemi z kolejnym z kłusowników. A Hershey, dzielny,

wspaniały pies, też przygwoździł do ziemi jakiegoś draba i, powarkując groźnie, nie puszczał go.

Kiedy ujrzała, że szósty zbir unosi karabin i celuje w J. D., przestała zastanawiać się, czy jest odważna, czy tchórzliwa. Po prostu zareagowała. Rzuciła się na niego, waląc na oślep wciąż trzymanym w ręku plecakiem.

Klucz francuski w płóciennym worku z głośnym hukiem zetknął się z głową kłusownika, który padł jak kłoda na ziemię, nie wiedząc nawet, co go uderzyło.

Przez ułamek sekundy Maggie stała jak sparaliżowana – popatrzyła wpierw na leżącego mężczyznę, potem na plecak. Zrobiło jej się słabo, kiedy uświadomiła sobie, co zrobiła.

– Maggie! Karabin!

Na dźwięk głosu J. D. natychmiast podniosła głowę.

– Weź go! – wrzasnął, waląc potężnym sierpowym w szczękę atakującego go z przodu mężczyzny. Zbir z tyłu otrzymał cios łokciem między zębra.

Bojąc się o J. D., czuła jednak podświadomie, że daje on sobie jakoś radę, podobnie jak Abel, którego widziała kątem oka.

Starając sennie myśleć, że być może przed chwilą zabiła człowieka, przykucnęła i podniosła karabin. Nie miała zielonego pojęcia, jak się nim posługiwać. Wcale jej to jednak nie powstrzymało.

– Hershey! – zawołała, przekrzykując warczenie psa i jęki atakowanego przez niego mężczyzny, błagającego ją, by go odwołała.

– Hershey! – powtórzyła głośniejszym, tym razem skutecznie.

Kiedy pies puścił leżącego i odszedł, skierowała karabin w pierś kłusownika.

– Już i tak się trzęsę – powiedziała piskliwie – więc najmniejszy ruch z twojej strony może spowodować, że nacisnę spust. Rozumiesz?

Mężczyzna kiwnął głową i skrzywił się z bólu, obmacując zranione ramię.

– Mam nadzieję, że przekonałam cię, że lepiej, byś się nie ruszał z miejsca?

Zbir znów kiwnął głową, zgiał się wpół i jęknął.

Trzymając wciąż wycelowany w niego karabin, Maggie spojrzała w kierunku ogniska. Dwaj mężczyźni leżeli nieprzytomni. Dalsi dwaj nie zdawali sobie jeszcze sprawy, co im grozi, i nadal próbowali walczyć z Ablem i J. D.

Mocnym ciosem w szczękę J. D. unieszkodliwił ostatniego zbira. Stał teraz na szeroko rozstawionych nogach i ciężko dyszał. W kąciu jego ust pojawiła się krew. Podpuchniętym, zakrwawionym okiem spojrzał na Abła i upewnił się, że panuje nad sytuacją. Dopiero potem spojrzał na Maggie.

Blask padający od ogniska tańczył na jego pięknej, poobijanej twarzy. Ciemnymi, świdrującymi jak lasery oczami patrzył wprost na nią.

– Nie – powiedziała i pokręciła głową. Czuła, że będzie na nią krzychał, iż nie posłuchała jego rozkazu. – Nie – powtórzyła słabym głosem, a po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Cała drżała i drżał też karabin w jej rękach.

J. D. w mgnieniu oka znalazł się przy niej i chwycił ją w ramiona.

– Taśma samoprzylepna – rzekł J. D., krepując nią ręce i nogi ostatniego z kłusowników.  
– Najlepszy przyjaciel mężczyzny. Oczywiście zaraz po tobie, Hersh – dodał i poklepał zwierzę po głowie. – Nie miałem pojęcia, że taki z ciebie tygrys.

Jego wzrok przeniósł się potem na Maggie. Ze zmierzwionymi włosami i wciąż jeszcze przerażona, siedziała oparta o pień drzewa.

Zasmucony tym widokiem, podszedł do niej, przyklęknął i pogłaskał ją po włosach.

– Dobrze się czujesz, Długa?

Maggie skinęła głową, ale nie chciała na niego spojrzeć.

– Zabiłam go? – spytała słabym, drżącym głosem.

– Nie, Długa – odparł cicho. – Będzie żył. Ale kiedy przyjdzie do siebie, głowa będzie go tak bolała, że pożałuje, iż nie umarł. Nieźle mu przyładowałaś.

Miał nadzieję, że Maggie się uśmiechnie. Chociaż leciutko. Zamiast tego w jej oczach znów pojawiły się łzy.

– Chodź do mnie – rzekł.

Oto ma przed sobą kobietę, którą kocha. Przed chwilą naraziła dla niego swoje życie, ale nie jest w stanie zaryzykować miłości do niego.

Z bijącym mocno sercem wziął ją w ramiona. Chronił ją przed chłodem nocy i walczył z obezwładniającym strachem. Gotów był ją udusić za to, że broniąc jego, samą siebie naraziła na niebezpieczeństwo. Mogła przecież zostać ranna albo nawet zginąć.

Trzymał ją jednak w objęciach i czekał na Abła, który poszedł na plażę rozpaścić ognisko jako drogowskaz dla ludzi z Wydziału Ochrony Środowiska. Oparł głowę o drzewo, przymknął oczy i wsłuchiwał się w ciszę.

Kiedy jakiś czas później usłyszał zbliżające się głosy, odetchnął z ulgą. Wiedział, że teraz całą sprawę przejmą powołane do tego służby.

Najpierw wszyscy troje musieli złożyć zeznania. Mówił głównie J. D., ale przez cały czas nie spuszczał oka z Maggie. Abel odzywał się tylko wtedy, gdy udzielał odpowiedzi na bezpośrednie pytanie.

J. D. zauważył, jak Maggie zadrżała, kiedy mówił funkcjonariuszom Wydziału Ochrony Środowiska o tym, jak kłusownicy prowadzili ich pod groźbą użycia pistoletu do ogniska. Spuściła głowę i w jej oczach pojawiły się łzy, kiedy opowiadał, jak omal nie zginęli, ale w ostatniej chwili ocalił ich Hershey. Wystarczyło, że na moment odwrócił uwagę zbirów. Później wszystko poszło już łatwo.

Kiedy w końcu opuszczali wyspę, Maggie była już spokojniejsza. W każdym razie przestała płakać i tylko chwilami przechodził ją dreszcz.

W domu kazała Ablowi i J. D. usiąść przy kuchennym stole i opatrzyła ich twarze i ręce.

Abel wkrótce wrócił do domu, zdziwiony i poruszony pożegnaniem, jakie zgotowała mu Maggie. Rzuciła mu się po prostu w ramiona i w milczeniu trwała tak przez dłuższą chwilę.

– Chodź, Długa – rzekł cicho J. D., kiedy zostali sami. – Chodź – powtórzył, wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni.

Rozebrał ją w milczeniu. Stała posłusznie i kiedy o to prosił, podnosiła nogę lub rękę. Ubrał ją w nocną koszulę, położył do łóżka i przykrył kołdrą.

– Zostań ze mną – szepnęła, kiedy odwrócił się, by wyjść.

Serce mu zamarło. Zaciśnął mocno rękę na klamce. Nie musiał patrzeć w jej oczy, by wiedzieć, że błyszczą w nich łzy. Słyszał to w jej głosie.

Spuścił głowę, wiedząc, że nie ma w sobie dość siły, by zostać i nie kochać się z nią. Wiedział, że nie dałby jej tego, czego ta dziewczyna pragnie. Oprócz miłości zbyt wiele jeszcze było w nim złości.

Nie mógł zapomnieć o jej oskarżeniach. Zbyt go jeszcze bolały.

Nie mógł też tak całkiem od niej odejść.

– Nie zostawiam cię, Długa. Ale nie mogę dzielić z tobą łóżka. Gdybym się teraz z tobą kochał, zrobiłbym ci krzywdę.

Ręce mu drżały, kiedy zamykał za sobą drzwi. Położył się na kanapie, ale niewiele spał. Głównie liczył gwiazdy i zastanawiał się, co będzie dalej.

Rano dostał odpowiedź.

Maggie zniknęła. Zostawiła po sobie tylko dwa słowa na kartce opartej o wazon ze słonecznikami stojący na kuchennym stole.

Opuszczenie J. D. było najtrudniejszą rzeczą, jaką Maggie w życiu zrobiła. Trudniejszą niż wyjazd do Nowego Jorku, konfrontacja z Rolfe'em i powrót nad jezioro tydzień później. W pustym domku czekały na nią tylko wspomnienia mężczyzny, który nauczył ją kochać.

Nikt nigdy nie twierdził, że życie jest łatwe, myślała, idąc po zalanym słońcem pomoście. Nikt też nie twierdził, że nie warto walczyć o miłość. Szkoda tylko, że ona sama tak późno do tego doszła.

Ostatniej nocy przed opuszczeniem J. D. długo leżała bezsennie. Gnębiły ją dawne koszmary z dzieciństwa, z czasów kiedy bała się, że pod jej łóżkiem kłębią się węże. Były równie przerażające jak spotkanie z kłusownikami.

Zrozumiała wtedy, że musi zamknąć swą przeszłość i spotkać się z Rolfe'em. To on był teraz uosobieniem tamtych węży i wszystkich gnębiących ją demonów. Jeśli ma zacząć nowe życie, musi je wypędzić. Wiedziała, że nie może tego dłużej odkładać.

A teraz było już po wszystkim. Przeszył ją zimny dreszcz, kiedy przypomniała sobie nienawiść płonącą w oczach Rolfe'a. Jego wściekłość. Groźby i obietnice zemsty.

Szybko jednak z dumą pomyślała o tym, jak dzielnie stawiała mu czoło. Wewnątrz cała drżała, ale nie pozwoliła, by to zauważył. Nie uległa też, gdy jego groźby przeszły w obietnice, a obietnice w smutne, żalosne błagania.

Odetchnęła głęboko i uniosła twarz do słońca. Teraz liczyła się tylko jej teraźniejszość. Jej teraźniejszość i jej przyszłość z J. D.

Postanowiła bowiem, że ta wspólna przyszłość będzie. Na razie wyglądało jednak, że to ona musi ją zainicjować.

Była tu od tygodnia. Już pierwszego dnia usłyszała silnik przelatującej nad zatoką cesseny. Pełna radości i nadziei wybiegła z chaty, zbiegła na pomost i machała tak, że omal jej ręka nie odpadła.

Widział ją. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. A jednak samolocik stawał

się coraz mniejszy i mniejszy, a w końcu zniknął zupełnie. Od tamtej pory się nie pojawił.

Wiedziała, że zraniła J. D. Tej nocy, kiedy odeszła, długo zastanawiała się, co mu napisać, jak wyjaśnić to, co musiała zrobić. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że te dwa słowa, na które się w końcu zdecydowała – „Zaufaj mi” – mogły znaczyć wszystko. Od: „Czekaj na mnie” po „Żegnaj”. Tylko tyle mu zostawiła.

Przez ostatnie siedem dni pracowała jak wół. Czyściła, sprzątała, wietrzyła, polerowała i nasłuchiwała warkotu samolotu, choć w głębi serca wiedziała, że J. D. nie przyleci. I przez cały ten czas wspominała i tęskniła za nim. Za jego ramionami, uśmiechem, pieszczotami, jego miłością.

Znajdowała słabe pocieszenie w plusku wody i śpiewie ptaków. Po miłości J. D. było to rzeczywiście tylko słabe pocieszenie.

Nie chciała już dłużej być sama. Wiedziała, że musi coś zrobić.

Już następnego dnia trafiła jej się okazja. Przyplłynął do niej w odwiedzin Abel.

– Zawieziesz mnie do niego?

Jak prawdziwy przyjaciel Abel nie zadawał żadnych pytań. Po prostu wyciągnął rękę i pomógł jej wsiąść do łodzi.

J. D. odmalował swój samolot. Już dawno była na to pora. Na parę innych rzeczy też, pomyślał ponuro, patrząc na swą cęsnę, na jej błyszczący świeżą, czerwoną emalią kadłub i końce skrzydeł.

– Jak ci się podoba, Al? – zwrócił się o opinię do leniwie wyciągniętego na pomoście starego człowieka, zajętego głównie odganianiem much.

Al wsunął kciuki za szelki swych sfatygowanych ogrodniczek, zmrużył oczy za starymi, porysowanymi okularami i przyjrzał się cęsnie.

– Może być – mruknął, jeszcze raz obojętnie rzucił okiem na samolot i wrócił do odganiania much.

– Twój entuzjazm jest porażający... – rzekł J. D. i zaniemówił. Rozpoznał bowiem płynącą ku nim łódź i siedzącą na dziobie kobietę.

Ani jego pamięć, ani marzenia nie dorównywały rzeczywistości. Była to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widział. I choć upłynął zaledwie tydzień od ich ostatniego spotkania, na jej widok serce zaczęło mu bić jak oszalałe.

Szła ku niemu uśmiechnięta, pewna siebie i zupełnie spokojna. Wiatr rozwiewał jej ciemne włosy, słońce błyszczało w jej oczach.

– Cześć, J. D.

Hershey, który spał jak zabity w cieniu hangaru, na dźwięk jej głosu zerwał się na równe nogi i popędził ku niej, jakby przyniosła mu jego ulubioną kość.

– Cześć, Długa – rzekł J. D. z nadzieją, że Maggie nie usłyszy drżenia jego głosu. – Jak leci?

Już nie pamiętał, ile razy, począwszy od dnia, kiedy przeleciał nad jej zatoczką i odkrył, że wróciła, postanawiał do niej pojechać. Wtedy odzywała się jego duma i zmieniał decyzję.

Teraz też tylko duma nie pozwalała mu podejść do Maggie, wziąć jej w ramiona i kochać tak długo, aż znikną wszystkie przeszkody, które nie pozwalają im być razem.



Zamiast tego zacisnął zęby i przyglądał się jej w milczeniu.

Maggie uklękła i tuląc Hersheya, spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

– Teraz już lepiej. Dużo lepiej.

J. D. zapomniał o wszystkim, co czuł tego dnia, kiedy od niego odeszła. Postanowił wtedy, że słono mu za to zapłaci. Teraz nie był w stanie tak myśleć.

– O ile lepiej? – spytał, zeskakując z płozy samolotu na pomost.

Maggie uśmiechnęła się lekko.

– Masz chwilę czasu? Wszystko ci opowiem.

Słońce przeświecało przez wysokie, szumiące cicho sosny. J. D. i Maggie szli wolno pokrytą sosnowym igliwem ścieżką.

Choć Maggie była całkowicie zdecydowana opowiedzieć J. D. o wszystkim, nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

– Może najlepiej od początku – zaproponował J. D., kiedy mu się z tego zwierzyła.

– Od początku – powtórzyła i westchnęła głęboko. – Chyba już sama nie pamiętam, gdzie jest ten początek.

Może to było wtedy, kiedy zabrano mnie z domu matki i umieszczono w pierwszym z długiego szeregu domów zastępczych. A może w ogóle nigdy nie było żadnego początku, choć ja cały czas na niego czekałam. Dzieci już takie są. Łatwo zapominają i nigdy nie tracą nadziei – dodała i spuściła głowę. – Ciągle sobie myślałam, że skoro moja matka nie chce zatrzymać mnie u siebie, to następni rodzice zastępczy będą już ze mną na stałe i zaczną się nowe, wspaniałe życie. Tyle że nigdy nic z tego nie wyszło.

J. D. milczeniem dodawał jej odwagi. Przyjmowała to z wdzięcznością.

– To jedna z rzeczy, za które byłam na ciebie zła – powiedziała z niepewnym uśmiechem i spojrzała na J. D. spod oka. – Miałaś takie idealne życie. Rodziców, którzy cię kochali. Pieniądze, dzięki którym mogłaś robić, co chciałaś. Pewność siebie, łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi.

– Pan Ideał to ja – skomentował z lekkim niesmakiem J. D.

Maggie przystanęła i ujęła jego dłonie, rozkoszując się ich delikatnością i siłą zarazem.

– Nie. Niech ci się nie wydaje, że powinieneś za to przeproszać. To, kim jesteś, jaki jesteś i jak się takim stałeś – to wszystko czyni cię wyjątkowym. Ja tylko próbuję ci opowiedzieć o swoich problemach. Nie potrzebuję twego współczucia, chcę tylko, byś o wszystkim wiedział i mógł zrozumieć to, co było później. I dlaczego tak bałam się ci zaufać.

Spojrzała na ich złożone ręce, potem na jego twarz. Spokój jego błękitnych oczu dodał jej odwagi, by mówić dalej.

Nie wypuszczając jego ręki, opowiadała:

– Kiedy miałam siedemnaście lat, przeniosłam się do Nowego Jorku. Wydawało mi się, że to miasto niczym nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Miałam już przecież za sobą zaloty jednego z zastępczych ojców.

Przerwała na moment i otrząsnęła się z tych obrzydliwych wspomnień. Dla uspokojenia pomyślała ciepło i z wdzięcznością o dniach, które spędziła ze Sny derami: oni byli dla niej tacy dobrzy i tylko z powodów proceduralnych nie mogli zatrzymać jej na stałe.

– No, więc tak – mówiła dalej, ignorując nagły, prawie bolesny uścisk ręki J. D. – Postanowiłam, niezależnie od wszystkiego, zostać gwiazdą Broadwayu.

Uśmiechnęła się, rozbawiona wspomnieniem własnej naiwności.

– Skończyłam jako kelnerka i... – zawahała się i posmutniała pod wpływem kolejnego, nieprzyjemnego wspomnienia – byłam bardzo blisko ucieczki do innych sposobów zarabiania na życie.

Znowu musiała na chwilę przerwać.

– Na szczęście nie zostałam prostytutką. Nie muszę mówić, że aktorką też nie. Zamiast tego „odkrył” mnie pewien znany fotograf.

– Sebastian... Rolfe Sebastian, prawda? Tak się nazywał? – spytał jakby nie swoim głosem J. D. – Śledziłem twoją karierę, Maggie. Historia całego twego życia była opisywana chyba we wszystkich pismach.

– Kopciuszek i jej uroczy książę, co? – uśmiechnęła się smutno. – Tak o tym pisano. Lecz książę nie był wcale taki uroczy. W każdym razie z biegiem lat cały swój urok utracił.

Czuła rosnące napięcie idącego obok niej J. D. Modliła się, by wybaczył jej to, co mu powie. Błagała Boga o siłę, by móc mu o tym powiedzieć.

Westchnęła głęboko i schyliła się po kawałek kory brzozej. Odzierając go ruszyła dalej.

– Najgorsze ze wszystkiego było to, że na to pozwoliłam. Często szukałam jakiegoś usprawiedliwienia. Wmawiałam sobie, iż to dlatego, że byłam młoda. Młoda i biedna. Był pierwszą osobą, która zainteresowała się mną na dłużej. Widziałam w nim swego wybawcę. Wydawało mi się, że go kocham. Sądziłam, że w końcu spotkałam kogoś, komu na mnie zależy. Kto mnie naprawdę kocha. I w imię miłości robiłam wszystko, co mi kazał.

Wszystko – powtórzyła, czując, że zbiera jej się na mdłości. – Aż doszło do tego, że sprawiało mu przyjemność stawianie mnie w sytuacjach, w których mógł pokazać swą władzę nade mną.

Zamilkła na chwilę i szła coraz wolniej. Gardło miała ściśnięte. W kącikach oczu błyszczały łzy.

– To... to był dzień moich dwudziestych piątych urodzin. Właśnie dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Ta nowina to miał być mój urodzinowy prezent dla niego.

Maggie zacisnęła mocno powieki i odwróciła głowę. Silne, ciepłe dłonie J. D. na jej ramionach dodały jej odwagi.

– Okazało się, że mój prezent zupełnie go nie obchodzi. Prawdę mówiąc, był wściekły. Myślał tylko o mojej karierze. A dziecko by ją zniszczyło. Chciał, żebym je usunęła. K a z a ł mi je usunąć. Odmówiłam. To był pierwszy raz, kiedy mu się przeciwstawiłam. Był to także pierwszy raz, kiedy mnie pobił. Uznał widać, że psychiczne znęcanie się już mu nie wystarcza.

Ciepłe dłonie na jej ramionach zacisnęły się mocniej. Czuła napięcie J. D., jakby było jej własnym.

– Pobił mnie tak strasznie, że... aborcja nie była już konieczna.

Wiedziała od początku, że będzie to trudne. Nie wiedziała tylko, że aż tak. Że nigdy nie

będzie w stanie przeboleć utraty dziecka.

Jej dziecka. Tamten człowiek zabił jej dziecko. A ona była zbyt słaba, by mu na to nie pozwolić. Złość na samą siebie rozrywała jej serce.

Nagle znalazła się w mocnych objęciach J. D.

– Kiedy doszłam do siebie – szeptała teraz, tuląc się do J. D. – uciekłam od niego. Szybko mnie odnalazł i zmusił, bym wróciła. Nienawidziłam własnej słabości.

Później spróbowałam, oczywiście, jeszcze raz uciec. Znowu się zjawiał, przeproszał, obiecywał, wykorzystał fakt, że było mi wstyd, iż pozwoliłam mu się nade mną znęcać. To on uczynił mnie tym, czym byłam – sławną, bogatą kobietą, która miała wszystko. I cieszył się, mogąc mi stale przypominać, że gdyby nie on, nikomu by na mnie nie zależało. Że liczy się tylko moja twarz i ciało.

– Co za drań – warknął przez zaciśnięte zęby J. D., tuląc Maggie mocniej do siebie.

– Tak – szepnęła z cichą nadzieją, że coś więcej niż współczucie kieruje jego czynami. – To prawdziwy drań. Żałuję tylko, że tak późno zrozumiałam, iż leczy swe własne kompleksy, wykorzystując moje.

Dwa lata temu, kiedy dowiedziałam się, że Snyderowie zostawili mi w spadku ten domek, zaczęłam układać swój plan. W ciągu osiemnastu miesięcy stopniowo pobrałam pięćdziesiąt tysięcy dolarów z mego konta, które Rolfe kontrolował i którego pilnował jak oka w głowie. Przy pierwszej nadarzającej się okazji spakowałam kilka najpotrzebniejszych rzeczy, kupiłam za gotówkę dzipa i ruszyłam przed siebie. To było sześć miesięcy temu. Dopiero kiedy już całkiem zmyliłam tropy, postanowiłam przyjechać tutaj. Nareszcie zniknęłam mu z oczu.

– I wtedy pojawiłeś się ty – szepnęła. – Przy tobie czułam się taka wyjątkowa i kochana... i tak mnie to przeraziło, że zaczęłam z tobą walczyć, odrzucać cię. Bałam, że tamten koszmar może znowu się powtórzyć. Winiłam cię za wszystko, co zrobił Rolfe i inni, którzy mnie kiedykolwiek wykorzystali.

– Nigdy cię nie skrzywdzę, Maggie. Nigdy – zapewnił ją J. D.

– Wiem – szepnęła. – Teraz wiem. I ja też cię nie skrzywdzę. Już nigdy więcej. To właśnie dlatego musiałam cię opuścić. Musiałam wrócić do Nowego Jorku i stanąć z tym łajdakiem twarzą w twarz. To było najważniejsze. Nie chciałam przez całe życie oglądać się za siebie i bać się, że mnie odnajdzie.

– Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Dlaczego nie pozwoliłaś, bym ci pomógł?

– Bo to były moje własne brudy. Moja własna bitwa. Gdybym tam nie wróciła i jej nie stoczyła, nigdy bym się od Rolfe'a nie uwolniła.

– Ten skurczybyk już nigdy cię nie dotknie – zapewnił ją gorąco.

– Masz rację. Wie, że moi adwokaci są w pogotowiu. Jeśli choć spojrzy w moją stronę, pozwę go do sądu tak szybko, że pożałuje, iż w ogóle mnie znał.

Przez dłuższą chwilę J. D. po prostu kołysał ją w ramionach i uspokajająco gładził po włosach.

– Tak mi wstyd – szepnęła. – Byłam taka słaba.

– Wcale nie byłaś słaba, Maggie. Nigdy. – Odsunął ją trochę od siebie i ujął w dłońie mokrą od łez twarz. – Tylko nigdy nie byłaś kochana. Dopóki nie poznałaś mnie. – Patrzył na

nią oczami pełnymi miłości i ogromnej czułości. – Wszystko ci teraz wynagrodzę. Dam ci tyle miłości, że zapomnisz, iż kiedykolwiek ci jej brakowało.

– Dam ci dzieci – obiecał. – Tyle dzieci, ile będziesz chciała.

Pamiętała, że stoi przed nią człowiek, który zawsze dotrzymuje słowa. Wiedziała, że jej nie zawiedzie. Uwierzyła w jego miłość. Ona też go kochała.

– Kocham cię, J. D. Bardzo. Ożenisz się ze mną? J. D. westchnął z ulgą.

– Już się bałem, że nigdy o to nie zapytasz.

## EPILOG

Wesele było huczne i godne scen z najlepszych hollywoodzkich filmów miłosnych. J. D. się tego domagał. Chciał, by cała rodzina i wszyscy przyjaciele poznali jego narzeczoną i cieszyli się wraz z nim w tym szczególnym dniu.

Nikt ze zgromadzonego w kościele tłumu nawet okiem nie mrugnął, że drużba miał na sobie smoking, zaś kruczoczarne włosy związane błękitną jedwabną wstążką, a obrączki podawała istota na czterech łapach i z ogonem. Uśmiechali się tylko pobłaźliwie, a niektórzy ocierali oczy, patrząc, jak uroczy państwo młodzi wymieniają przysięgi, obrączki i w końcu długi, namiętny pocałunek.

Z Minneapolis do Purpurowego Wodospadu polecieli cessną. Tego domagała się Maggie. Już nie było trudno namówić jej na ten lot. Trudniej było zmieścić w kabinie dziesiątki metrów błękitnego atłasu i francuskiej koronki.

– Powinnam się przebrać – zauważyła ze śmiechem, patrząc, jak J. D. wciska pod siedzenie tren jej ślubnej sukni.

– Mowy nie ma. – Ucinając dalszą dyskusję, J. D. usiadł na miejscu pilota i zatrzasnął drzwiczki. Sprawdził, czy Hershey leży wygodnie z tyłu, rozluźnił krawat, odpiął górny guziczek koszuli i zapalił silnik. – W moim życiu będzie tylko jedna panna młoda, Długa. I jedna noc poślubna. Kiedy ta suknia opadnie na ziemię, chcę przy tym być.

Na samo wspomnienie czekającej ją nocy poślubnej Maggie poczuła słodki, gorący dreszcz emocji.

– Czy mówiłem ci już, jak pięknie wyglądasz? – spytał, patrząc na nią z zachwytem.

– To ty jesteś piękny – powiedziała, nachylając się ku niemu. Pogładziła dłonią jego złote włosy i podała mu usta do pocałunku.

Czując zimny nos na swym policzku, cofnęła się ze śmiechem.

– Tak, Hersh. Tobie też niczego nie brakuje. Jednak zupełnie nie wiem, czemu twój pan nie szarpnął się na nową obrożę.

J. D. odwrócił się, by spojrzeć na rzeczoną obrożę. Była to ta sama, którą trzymała Maggie, kiedy Hershey rzucił się na kłusownika. J. D. naprawił poszarpaną skórę ogromną ilością taśmy samoprzylepnej.

– Jemu się taka obroża podoba, prawda, Hersh? Nadaje mu groźny i szlachetny wygląd.

Maggie aż chciała się uszczyplnąć, kiedy z lekkim wiatrem lecieli po bezchmurnym niebie. Ta radość, to szczęście były dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Wiedziała jednak, że w jej życiu z J. D. będzie pełno wszystkiego, czego tak bardzo jej brakowało. Powinna zacząć się do tego przyzwyczajać. Najlepiej od razu.

– James Dean – mruknęła pod nosem.

– Co powiedziałaś? Nie dosłyszałem – dopytywał się J. D., przekrzykując warkot silnika. Nachyliła się ku niemu z figlarnym uśmiechem.

– Zawsze zastanawiałam się, co znaczą te litery. J. D. Musiałam aż za ciebie wyjść, żeby się tego dowiedzieć.

– Teraz więc już wiesz, skąd biorą się te moje romantyczne skłonności. Matka w okresie ciąży była zakochana w Jamesie Deanie.

– Teraz ja jestem w nim zakochana. Podkreślając to wyznanie, Maggie położyła mu rękę na ramieniu.

– Bardzo mi się spodobała twoja rodzina. Twoi rodzice są cudowni. A twój brat to jeszcze większy kokiet niż ty. Założę się, że Sandy musi go cały czas mieć na oku.

– Cary to zwyczajny pozer. Jest zupełnie zwariowany na punkcie Sandy i dziewczynek. My, Hazzardowie, uwielbiamy swoje kobiety.

Tej nocy, spędzonej w apartamencie dla nowożeńców w hotelu Purpurowy Wodospad, pokazał jej, jak bardzo.

Ślubna suknia, zdjęta silnymi, lecz delikatnymi rękami, leżała jak błękitna koronkowa kupka na podłodze obok łóżka.

Kochał Maggie tak, jakby to był ich pierwszy raz, jedyny raz, ostami raz.

– Zapłacisz mi za to, Hazzard – mruknęła, kiedy odzyskała w końcu trochę sił. – Drogo mi za to zapłacisz.

J. D., też prawie wykończony, przesunął dłonią po jedwabistej skórze jej pleców i przyciągnął ją do siebie.

– Zdaje się, że ukradłaś mi rolę. Ale niech ci będzie. Wiem, że twoja kara będzie doprawdy niezwykłą przyjemnością – oznajmił i zasnął.

Kiedy się obudził, jego świeżo poślubiona żona siedziała na łóżku obok niego z rolką taśmy samoprzylepnej w dłoni. Uśmiechnął się do niej.

– Piękna – mruknął i chciał odgarnąć kosmyk jedwabistych, brązowych włosów opadający Maggie na twarz. Próbował unieść rękę, lecz nie mógł tego zrobić.

Obrócił głowę na poduszce, wyteżył w ciemnościach wzrok i w końcu dostrzegł, że jego nadgarstek przyklepiony jest do mosiężnego wezglowia łóżka samoprzylepną taśmą. Chwilę później zorientował się, że to samo stało się z drugim.

Spojrzał pytająco na swą ukochaną. Odpowiedziała mu uśmiechem pełnym przekory i miłości.

– Czas zapłaty? – domyślił się.

– Czas zapłaty – szepnęła, a jego ogarnęło pełne oczekiwania pożądanie.

Maggie odłożyła rolkę taśmy na stolik przy łóżku, a potem, nie odrywając od niego wzroku, wolniutko złożyła swój wspaniały, nagi biust na jego piersi.

J. D. jęknął z zachwytu, czując na sobie jej miękkie krągłości. Wyprężył się i uniósł ku górze. Jego ręce powstrzymywała, niestety, taśma.

Pieściła z zapalem jego nagie, lecz częściowo unieruchomione ciało. Muskały go jej dłonie i wargi.

– Taśma samoprzylepna – szeptał z trudem – zmieniała... moje życie. Kocham cię, Maggie.

– Wiem o tym – odparła, zanim doprowadziła go na sam szczyt rozkoszy.

Później, ale dużo później, oswobodziła go z tych miłosnych pęt. I wtedy okazał się godny swego imienia. Był prawdziwym Jamesem Deanem.